



HUSARIA TRADYCJI

WIOSNA 2013 (7)

W numerze:

Wstęp (2)

Anders: Bez ostatniego rozdziału (3)

Czapski: Na nieludzkiej ziemi (10)

Gan-Ganowicz: Kondotierzy (15)

Hallmann: Polak Łotysz dwa bratanki? (20)

Herbert: Ręce moich przodków (22)

Kachniarz: Z obcego rodu (23)

Lewis: Listy starego diabła do młodego (35)

Mickiewicz: Księgi pielgrzymstwa polskiego (40)

Musioł: Przestępczo szeptanka (47)

Piwovar: Elegia o ginących (53)

Piwovar: Żołnierz, który klęczy (54)

Podlewski: Rabanci (55)

Stille: Podróż do Polski (65)

Wstęp

Siódmy numer Husarii Tradycji, w 70. rocznicę ujawnienia Zbrodni Katyńskiej, otwieramy fragmentami dwóch książek w których temat ten pojawia się wielokrotnie. Pierwsza z nich, „Bez ostatniego rozdziału” gen. Władysława Andersa, to zapis „gier” polsko-sowiecko-brytyjskich. Szczególnie uderzają w nich słowa Churchilla, wypowiedane w czasie, gdy sprawa granic Polski była już niemal całkowicie przesądzona. Druga książka, autorstwa Józefa Czapskiego, to wzruszające świadectwo na temat jego współwięźniów ze Starobielska, oficerów, których później zamordowano. Tylko zetknięcie się z życiorysami ofiar tamtej sowieckiej zbrodni może dać właściwy pogląd na temat straty jaką poniosła wtedy Polska.

Kolejna pozycja to „Kondotierzy” Rafała Gan-Ganowicza – polskiego najemnika, korespondent Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, który w trzech przytoczonych fragmentach opisuje swoją ucieczkę z okupowanego przez komunistów kraju, porównuje zwyczaje mieszkańców Afryki i sowieców oraz przytacza ciekawą historię z hippisami.

Następny w kolejności jest artykuł Dawida Hallmanna „Polak Łotysz dwa bratanki?”, w którym przytacza wyniki swoich badań na temat łotewskiej tożsamości i odpowiada na pytania – jak nas widzą Łotysze i co nas z Łotwą łączy?

Po Hallmannie pora na poezję Zbigniewa Herberta. W tym numerze raczymy się wierszem „Ręce moich przodków”. Z kolei pod koniec numeru można znaleźć dwa utwory Lecha Piwowara napisane w Starobielsku. Poeta został zamordowany w Charkowie.

Na stronie XX do przeczytania artykuł Bartłomieja Kachniarza „Z obcego rodu”, traktujący o polonizacji. Na kolejnych stronach natomiast zamieściliśmy fragmenty książki C.S. Lewisa „Listy starego diabła do młodego”. Wybraliśmy 3 listy. Oczywiście należy brać pod uwagę fakt, że są one pisane z perspektywy diabła.

Po Lewisie – Mickiewicz i fragmenty „Ksiąg pielgrzymstwa polskiego”. Dzieło to obchodziło w ubiegłym roku swoje 180-lecie. Warto pamiętać, że nie tylko wychowały się na nim poprzednie pokolenia ale również dzięki niemu rozślawione zostało w Europie imię Mickiewicza. Przetłumaczono je na wiele języków (w tym wszystkie słowiańskie).

Kolejna nasza propozycja to fragment książki Józefa Musioła „Chachary. Sceny Sądowe w Stalinogrodzie”. Polecamy nie tylko Ślązakom.

A po słunskich przygodach pora na „Rabantów” czyli powstańcze opowiadanie Adama Podlewskiego, któremu bardzo serdecznie dziękujemy za zgodę na jego opublikowanie.

Na koniec fragment „Podróży do Polski” S.J. Stille, czyli wspomnienia szwedzkiego ochotnika, lekarza w powstaniu listopadowym. Opisuje on swoje perypetie zaraz po przekroczeniu (nielegalnym) granicy z Królestwem Polskim. W kolejnym numerze Husarii Tradycji na pewno wrócimy do tej pozycji.

I to by było na tyle w siódmej odsłonie naszego magazynu. Wdzięczność w naszym imieniu przyjmuje Fundacja Tradycji Miast i Wsi na konto:

16 1090 1740 0000 0001 2088 2593 (BZ WBK)

Do następnego numeru!

Władysław Anders

Bez ostatniego rozdziału (fragmenty)

Dwudziestego dziewiątego września rano postanowiłem dowlec się do najbliższej wsi, Jasionki Stasiowej. Pójdę na los szczęścia. Pozostali ze mną, mimo moich namów, rtm. Kuczyński i ułan Tomczyk. Gdyśmy doszli do wsi, jeden z mieszkańców natychmiast zawiadomił milicję, a następnie oddziały sowieckie, które wszędzie kwaterowały. Zawieziono nas pod eskortą samochodów pancernych przez Turkę do Starego Sambora do dowództwa czerwonej armii.

Stwierdziliśmy po drodze, że wsie pełne są wojska sowieckiego, wszystkich rodzajów broni. W wielu miejscach, szczególnie koło Turki, widać było setki ludzi budujących fortyfikacje polowe. Zdziwiło mnie, że były one skierowane frontem na północ, podobnie jak ok. 20 dział ciężkiej artylerii, które zauważyłem. Na moje zapytanie major sowiecki bez ogródek odpowiedział, że już od blisko tygodnia są w tym terenie i że mają rozbić i ewentualnie wyłapać wszystkie oddziały polskie, przedostające się z północy na południe. Bolszewicy nie chcieli dopuścić do tworzenia wojska polskiego za granicą i byli wtedy, po dokonaniu nowego rozbioru Polski, szczerymi sprzymierzeńcami Niemiec.

Spotkałem się zresztą wtedy po raz pierwszy z charakterystycznym zdaniem:

- My i Niemcy jesteśmy obecnie prawdziwymi przyjaciółmi i razem pójdziemy przeciwko kapitalizmowi światowemu. Polska wysługiwała się Anglii i dlatego musiała zginąć. Polski już nigdy nie będzie. Niemcy dokładnie zawiadamiają nas o ruchach wszystkich oddziałów polskich, które kierują się na Węgry lub na Rumunię.

Stwierdziłem ogromną ilość czołgów, samochodów pancernych oraz artylerii. Wprawdzie większość żołnierzy była źle wyekwipowana, konie chude, zabiedzone, pojazdy motorowe i rysztyunek niedoczyszczone, ale wojsko w całości przedstawiało się o wiele lepiej aniżeli w r. 1920. Istniała dyscyplina i posłuch dla dowódców. Pierwszy raz zetknąłem się wtedy z oficerami w niebiesko-czerwonych czapkach. Wyjaśniono mi, że są to oficerowie NKWD. Od razu można było zauważyć, że we wszystkich budzą strach.

W Starym Samborze zaprowadzono mnie do dowódcy armii Tiuleniewa. Przyjął mnie w otoczeniu co najmniej 20 oficerów. Z miejsca wystąpił z zarzutem, że się nie poddałem, lecz że stawiałem opór i że wskutek tego armia czerwona, która po przyjacielsku weszła do Polski, by ratować lud „od panów i kapitalistów”, straciła 18 czołgów i wielu „bojcow” (żołnierzy). Na moją uwagę, że Sowiety złamały traktat i że bez powodu najechały obszar Polski, otrzymałem odpowiedź:

- Związek Sowiecki ma swoją politykę.

Często potem miałem spotkać się z takim argumentem. (...)

Każą mi wysiadać na dziedzińcu. Wyraźnie dziedziniec więzienny. Prowadzą po wielu zakamarkach. Kilkakrotne rewizje. Przy pierwszej rewizji zabierają wszystkie rzeczy wraz z walizką. Zostawiają tylko koc, mydło, szczotkę do zębów i kubek. Ubranie, buty - wszystko pocięte i poprute. W pewnej chwili znajdują medalik z Matką Boską. Zbierają się w kilkunastu nad medalikiem. Śmiech grubiański i:

- No, zobaczymy, czy ci ta k ... pomoże w sowieckim więzieniu.

Medalik rzucony na ziemię i zdeptyany nogą. Do dziś dnia nie mogę się otrząsnąć z wrażenia. Później w więzieniu często śnił mi się ten medalik. Ciągle widziałem twarzyczkę Matki Częstochowskiej, najczęściej podobną do św. Teresy. Czuję Jej ciągłą opiekę nad sobą. Im więcej słyszałem koło siebie śmiechu bezbożników, tym głębiej utrwalała się wiara w Boga. Dodawała mi siły do zwalczania słabości ludzkich w tych ciężkich dla mnie chwilach. (...)

Najczęściej przesłuchiwał mnie sędzia śledczy NKWD Kondratik. Kiedy przeczyłem wszystkiemu i podkreślałem, że jestem żołnierzem, kilkakrotnie ciężko rannym w wojnie, przypominano mi, że nie było jeszcze więźnia, który by na badaniach NKWD nie przyznał się do wszystkiego. Żartowano: „Cóż wy myślicie, że wam pomnik wystawią w Warszawie”, wskazując jednocześnie napis na ścianie, głoszący, że NKWD nigdy się nie myli. Podstawą działań NKWD jest: lepiej stu niewinnych rozstrzelać aniżeli jednego winnego zostawić na wolności. Grożono mi wysłaniem do Suchanowki lub Lefortowa. Później dowiedziałem się, że były to więzienia, gdzie specjalnie torturowano więźniów, wymuszając zeznania. Wielu Polaków przeszło te tortury, wielu stamtąd nie wyszło.

Pamiętam wypadek rzucający światło na środowisko NKWD.

W czasie dość nieprzyjemnego śledztwa odezwał się telefon na biurku. Słyszę urywki rozmowy:

- O kogo chodzi? Liarus? Zaraz, poczekaj.

Sędzia, ręką przykrywając słuchawkę, zwraca się do mnie, czy znam takie nazwisko. Zaprzeczam.

- Kiedy ja wiem, że to wasz znajomy; my wszystko wiemy.

Mówię, że może chodzi o Larousse'a, autora najpopularniejszej na świecie encyklopedii. Z niedowierzaniem zapytuje mnie, czy rzeczywiście był taki. Zapewniam. Z miejsca mój sędzia łupi przez telefon:

- Ty niekulturny! To ty nie wiesz, że Liarus napisał encyklopedię? Nie wiesz, co to jest encyklopedia? To się dowiedz. Ja z takim niekulturnym, jak ty, nie będę rozmawiał, nie mam czasu.

Najbardziej jednak niepokoiła mnie niezwykła otwartość, z jaką chwilami poruszano, zdawałoby się, najbardziej tajne sprawy. Wynikało z tego, że władze sowieckie czują się niezwykle pewnie i że nie liczą się z tym, żebym kiedykolwiek mógł się znaleźć na wolności.

- Nie myślcie, że my naprawdę jesteśmy przyjaciółmi Niemców. My tylko bardziej nienawidzimy Anglików. Ale gdy Niemcy, po pobiciu Francji i Anglii, osłabią się, pójdziemy naprzód i zajmiemy całą Europę. (...)

Pewnego dnia usłyszeliśmy wybuchy bomb w Moskwie i gwałtowną strzelaninę dział przeciwlotniczych. Wszystkie krew zbiegła mi do serca. A więc nareszcie wojna! Moje doświadczone ucho nie może się mylić. Następnego dnia zaczęto malować na niebiesko okna. Na korytarzach więziennych pojawiły się worki z piaskiem. Władze sowieckie ogłosiły, że odbywają się ćwiczenia przeciwlotnicze, ale naloty się powtórzyły. (...)

Jak już wspomniałem, jeszcze w więzieniu zetknąłem się z nazwą Kołyma. Później wielokrotnie objęła mi się ona o uszy, jakkolwiek bolszewicy niechętnie o niej mówili. Zawsze krótko stwierdzano: z Kołymy się nie wraca!

Dopiero przed samym wyjściem armii polskiej z Rosji sowieckiej przybyła grupa 171 mężczyzn,

która wreszcie 8 lipca 1942, w rok nit mai po układzie, opuściła Kołymę. Byli to ludzie rzeczywiście cudem przywróceniu do życia. Prawie wszyscy mieli amputowane palce u nóg i rąk i potworne plamy na ciele od szkorbutu. Chociaż miliony ludzi wymierały w strasznych warunkach w tzw. obozach pracy, jednak Kołyma była miejscem prawdziwej eksterminacji.

Rozmawiałem sam prawie z wszystkimi przybyłymi i mam 62 relacje pisemne. Ogólne określenia były krótkie:

- Kołyma, to śmierć. Może wytrzymasz rok, najwyżej dwa. (...)

Sikorski: Wracam jednak do rzeczy. Stwierdzam wobec Pana Prezydenta, iż jego oświadczenie o amnestii nie jest wykonywane. Dużo, i to najcenniejszych, naszych ludzi znajduje się jeszcze w obozach pracy i więzieniach.

Stalin (notuje): To niemożliwe, gdyż amnestia dotyczyła wszystkich i wszyscy Polacy są zwolnieni. (Ostatnie słowa kieruje do Mołotowa. Mołotow potakuje).

Anders (podaje szczegóły na żądanie gen. Sikorskiego): Nie jest to zgodne z istotnym stanem rzeczy, gdyż mamy najzupełniej ściśle dane, że w obozach zwalniano najpierw Żydów, następnie Ukraińców i wreszcie słabszy fizycznie polski materiał roboczy. Silnych zatrzymywano, tylko niewielką część z nich zwalniano. Posiadam w wojsku ludzi, których z takich obozów zwolniono zaledwie przed paru tygodniami i którzy stwierdzają, że w poszczególnych obozach zostały jeszcze setki a nawet tysiące naszych rodaków. Rozkazy rządu nie są tam wykonywane, gdyż komendanci poszczególnych obozów, mając obowiązek wykonania planu produkcyjnego, nie chcą pozbywać się najlepszego materiału roboczego, bez którego wykonanie planu byłoby czasem niemożliwe.

Mołotow (uśmiecha się, potakując głową).

Anders: Ludzie ci zupełnie nie rozumieją całej wagi naszej wspólnej sprawy, która w ten sposób ponosi niezmierny uszczerbek.

Stalin: Ci ludzie powinni iść pod sąd.

Anders: Tak jest.

Sikorski: Nie naszą jest rzeczą dostarczać rządowi sowieckiemu dokładnych spisów naszych ludzi, ale pełne listy mają komendanci obozów. Mam ze sobą listę ok. 4000 oficerów, których wywieziono siłą i którzy znajdują się jeszcze obecnie w więzieniach i obozach pracy, i nawet ten spis nie jest pełny, zawiera bowiem tylko nazwiska, które się dało zestawić z pamięci. Poleciałem sprawdzić, czy nie ma ich w Kraju, z którym mam stałą łączność. Okazało się, że nie ma tam żadnego z nich. Ci ludzie znajdują się tutaj. Nikt z nich nie wrócił.

Stalin: To niemożliwe. Oni uciekli.

Anders: Dokądżeż mogli uciec?

Stalin: No, do Mandżurii.

Anders: To niemożliwe, żeby wszyscy mogli uciec, tym bardziej że z chwilą wywiezienia ich z obozów jeńców do obozów pracy i więzień ustała zupełnie korespondencja ich z rodzinami. Wiem zupełnie dokładnie nie od oficerów, którzy już wrócili nawet z okolic Kołymy, że znajduje się tam dużo naszych oficerów, znanych z nazwiska. Wiem, że były nawet transporty Polaków przygotowanych do zwolnienia i wyjazdu, które w ostatniej chwili zostały wstrzymane. Mam wiadomości, że nasi ludzie znajdują się nawet na Nowej Ziemi. Większą część oficerów, wymienionych w tym spisie, znam osobiście. Są wśród nich moi oficerowie sztabu i dowódcy. Ludzie ci giną i mrą w straszliwych warunkach. (...)

Położenie wojska polskiego w Rosji sowieckiej było ponure. Jasny promień, który oderwał umysły żołnierzy od przykrości codziennego życia, stanowiło przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny 8 grudnia 1941. Przypomniano o piśmie Prezydenta Roosevelta do Prezydenta Rzeczypospolitej z 5 lipca 1941, w którym oddawał hołd walczącej Polsce, nazywając ją natchnieniem nie tylko dla narodu Stanów Zjednoczonych, lecz dla wszystkich ludów miłujących pokój. W końcu stycznia 1942 radio amerykańskie podało orędzie Prezydenta Roosevelta do narodu

polskiego znane pt. „Prezydent wie”. Orędzie to zostało rozpowszechnione w ulotkach, a ludzie w łachmanach, wynędzniali z głodu, klęcząc na śniegu i mrozie dziękowali Bogu, pełni wiary i zaufania do potężnych sojuszników.

Nabierałem coraz bardziej przekonania, że władze sowieckie nieszczercze przystępują do tworzenia armii polskiej, a utrudnienia na każdym kroku były tego dowodem. Mieliśmy bezustannie powtarzające się wiadomości, że tysięczne rzesze zatrzymywano w więzieniach i łagrach oraz że nie wykonano uczciwie tzw. amnestii. Uważałem, że należało ratować ludzi z północnych i wschodnich części Rosji i przesuwać, pomimo wszelkich trudności, żołnierzy i ludność cywilną na południe. Widziałem już wtedy jedyny ratunek w wyjściu zza żelaznego kordonu przez Persję. Innego zdania był prof. Kot, który przeszkadzał w wykonaniu tego planu i ponosi niemałą odpowiedzialność za powstrzymywanie tych przesunięć. (...)

Podczas pobytu w Jangi-Jul otrzymałem od Stalina dwa konie i codziennie na nich jeździłem. Był to jedyny sposób uniknięcia opieki NKWD. Często przejeżdżałem koło obozów koncentracyjnych, gdzie widziałem tysiące ludzi w łachmanach i w takich samych warunkach, w jakich do niedawna przebywali nasi żołnierze. Straże NKWD, widząc mnie konno w furazerce i długich butach, były przekonane, że to wyższy oficer NKWD bada teren. Do głowy nie mogło im przyjść, żeby kto inny w Rosji sowieckiej mógł się swobodnie poruszać konno po okolicy. Podczas jednej z dalszych przejażdżek natknąłem się na obóz, w którym wszyscy byli w mundurach. Przyjrzawszy się bliżej, stwierdziłem, że byli to oficerowie sowieccy. Jak zwykle po aresztowaniu nie mieli już odznak wojskowych, lecz ślady ich pozostały na kołnierzach. Widziałem wielu generałów i pułkowników, a najniższa ranga, jaką dostrzegłem, była ranga majora. Po powrocie z przejażdżki zapytałem pułkownika NKWD Wołkowyskiego, co to znaczy. Otrzymałem odpowiedź, że są to hitlerowcy i tchórze; było ich z półtora tysiąca. Na drugi dzień ten sam pułkownik zawiadomił mnie, że Moskwa prosi telefonicznie, bym zaniechał wycieczek w tamte okolice. (...)

Rozgłoszenie niemieckie doniosły 12 kwietnia 1943 o odkryciu dokonany w Katyniu na obszarach rosyjskich, zajętych przez wojska niemieckie:

„Na podstawie wskazań okolicznej ludności cywilnej spod Smoleńska, niemieckie władze wojskowe odkryły pod Kozimi Górą (koło Katynia) masowe groby oficerów polskich... W odkrytym grobie, o wymiarach 28 na 16 m, leżały zwłoki w 12 warstwach twarzami w dół, ręce związane do tyłu, w pełnym umundurowaniu ... Na podstawie dochodzeń, prowadzonych przez wojskowe władze niemieckie wśród tamtejszej ludności cywilnej, stwierdzono, że oficerowie ci przewiezieni zostali z obozów jeńców i obozów internowanych transportami kolejowymi... Z obdukcji zwłok wynika, że każdy z oficerów został zastrzelony strzałem rewolwerowym w tył czaszki”.

Dla mnie, który przez okrągły rok starałem się bezskutecznie wydostać od władz sowieckich wiadomość o kilkunastu tysiącach naszych jeńców, przeważnie oficerów, z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, było rzeczą jasną, że Niemcy w tym wypadku powiedzieli prawdę. Utwierdził mnie w tym przekonaniu sowiecki komunikat radiowy z 15 kwietnia 1943:

„W ciągu ubiegłych dwóch, trzech dni oszczercy Goebbelsa rozpowszechniali podłe wymysły, utrzymując, iż władze sowieckie dokonały masowego rozstrzelania polskich oficerów wiosną 1940 w okolicy Smoleńska. Wymyślając tę potworność, szubrawcy niemiecko-faszystowskie nie wahają się przed najbardziej bezwstydnymi i nikczemnymi kłamstwami, starając się pokryć zbrodnie, które, jak to obecnie stało się oczywiste, dokonane były przez nich samych. Niemiecko-faszystowskie doniesienia w tej sprawie nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tragicznego losu byłych polskich jeńców wojennych, którzy byli zatrudnieni na robotach budowlanych w r. 1941 w okolicach na zachód od Smoleńska i którzy, wraz z wielu poddanymi sowieckimi, zamieszkałymi w okolicach Smoleńska, wpadli w ręce oprawców niemiecko-faszystowskich w lecie 1941 po

wycofaniu się wojsk sowieckich z okręgu Smoleńska"...

Dlaczego takiej odpowiedzi rząd sowiecki nie udzielił polskim czynnikom oficjalnym w ciągu rocznych na ten temat rokowań? Gdyby jeńcy nasi zostali naprawdę zagarnięci przez postępującą ofensywę niemiecką w lecie 1941, nie byłoby żadnego powodu do ukrywania tego faktu przed nami. Jasne było, że zbrodnię katyńską popełnili bolszewicy. (...)

A tymczasem wojska sowieckie posuwały się w głąb Polski. Treść i brzmienie oświadczeń sowieckich nie pozostawiały wątpliwości, że rząd sowiecki uważa zajmowane tereny za swoje. Prasa i radio sowieckie rozpętały na szeroką skalę zakrój ona propagandę w tym duchu. Nie byliśmy tym zdziwieni, gdyż wszystkie dotychczasowe doświadczenia w stosunkach polsko-sowieckich nakazywały tego oczekiwać. Próby przywrócenia polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych zostały rozbite przez Rosję stawianiem warunków niemożliwych do przyjęcia dla strony polskiej, jak żądanie zmian w rządzie polskim i uznania tzw. linii Curzona jako wschodniej granicy polskiej. Próby pośrednictwa ze strony Stanów Zjednoczonych zostały przez Rosję odrzucone.

Natomiast zaniepokoiła nas zmiana stanowiska naszych sojuszników anglosaskich. W prasie brytyjskiej i amerykańskiej wszystkich odcieni politycznych od początku 1944 zaczęły ukazywać się artykuły, zmierzające do nadwątlenia niezłomnego stanowiska rządu polskiego w Londynie w sprawie wschodniej granicy Polski. Tzw. linia Curzona znalazła nagle w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych szerokie rzesze zwolenników, którzy uznali ją za podstawę przyszłej granicy polsko-sowieckiej. Drugie żądanie sowieckie - zmiany składu rządu polskiego w Londynie na „przyjazny dla Rosji sowieckiej” - było na razie przez prasę odrzucane. Natężenie propagandy sowieckiej w połączeniu ze stanowiskiem prasy anglosaskiej nie wróżyło nic dobrego. Skąpe wiadomości od naszego rządu w Londynie w połączeniu z dużym zaniepokojeniem w Kraju zmusiły mnie do zajęcia wyraźnej postawy w imieniu Korpusu. Miałem całkowite zaufanie do Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego i znałem jego twarde stanowisko w sprawie nienaruszalności granic Rzeczypospolitej. 17 lutego 1944 przekazałem mu przez gen. Bohusza-Szyszkę następującą opinię:

„Jeżeli chodzi o nasze granice wschodnie, stanowisko nasze było i jest najzupełniej zdecydowane: nikt nie ma prawa handlować honorem i godnością Polski... Nikt lepiej od nas nie rozumie, co znaczy najmniejsze ustępstwo bolszewikom”.

Dwudziestego drugiego lutego 1944 Churchill na posiedzeniu Izby Gmin wygłosił wielkie przemówienie polityczne, w którym sprawa Polski zajmowała miejsce poczesne. Było to już najbardziej urzędowe potwierdzenie ustępstw na rzecz Rosji sowieckiej kosztem Polski. Oto wyjątki:

„...Los narodu polskiego zajmuje naczelne miejsce w myślach i polityce rządu i parlamentu brytyjskiego. Z przyjemnością usłyszałem od marszałka Stalina, że i on uważa za niezbędne stworzenie i utrzymanie silnej i niepodległej Polski jako jednego z czołowych mocarstw w Europie... Nie gwarantowaliśmy nigdy żadnej określonej linii granicznej Polski. Nie wyrażaliśmy zgody na okupację Wilna przez Polskę w r. 1920, brytyjskie poglądy w r. 1919 znalazły wyraz w tzw. linii Curzona... Odczuwam głęboką sympatię dla Polaków, ale mam również zrozumienie dla stanowiska Rosji. Oswobodzenie Polski może być obecnie osiągnięte przez armie rosyjskie, po poniesieniu przez nie milionowych ofiar przy złamaniu niemieckiej potęgi wojskowej. Nie mam wrażenia, by żądania Rosji zabezpieczenia jej granic zachodnich wykraczały poza obręb tego co jest rozsądne i sprawiedliwe... Marszałek Stalin i ja osiągnęliśmy zgodę, by Polska uzyskała odszkodowanie kosztem Niemiec, zarówno na północy, jak na zachodzie”...

Był to dla nas nowy cios. Mowa Churchilla zawierała oświadczenie groźne dla najistotniejszych interesów Polski. Po raz pierwszy znalazła się wzmianka, że poglądy brytyjskie na polską granicę wschodnią reprezentowała tzw. linia Curzona, która jednak w rzeczywistości nigdy nie była pojmowana jako linia graniczna, lecz wysunięta była w r. 1919 jako tymczasowa linia zarządu polskiego z wyraźnym zastrzeżeniem praw polskich dalej na wschód, a w r. 1920 jako linia zawieszenia broni. Nie było o niej mowy, kiedy w r. 1939 Wielka Brytania zawierała sojusz z Polską. Nie poruszano tej sprawy, kiedy walczyliśmy samotnie w tym samym roku 1939. Nie kwestionowano naszych granic wschodnich, kiedy w r. 1940 żołnierz polski bił się we Francji, a lotnik polski nad Londynem. Wzmianka, że Wielka Brytania nigdy nie gwarantowała żadnej określonej linii granicznej Polski, kłóciła się z tą niechybną prawdą, że polsko-brytyjski układ sojuszniczy z 25 sierpnia 1939 zawarty był na podstawie granic ówczesnych. Przemówienie Churchilla wywołało przygnębienie wśród żołnierzy tym silniejsze, że większa część miała swoje rodziny i domy na wschód od tej linii. Zwołałem odprawę starszych dowódców. Odczuwaliśmy głęboko krzywdę, która nas spotkała. Pierwszy raz zaufanie do Wielkiej Brytanii zostało poderwane i zachwiane. (...)

Gdy się Niemcy zorientowali, że mają naprzeciw siebie oddziały polskie, rozpoczęli propagandę zmierzającą do osłabienia ducha żołnierza polskiego. Używali do tego celu ulotek, audycji radiowych i megafonów ustawianych w pierwszej linii stanowisk. Namawiano naszych żołnierzy do przechodzenia na stronę niemiecką, obiecując wolny powrót do Polski, przy czym ulotki miały służyć jako przepustki przez linie niemieckie. Radiostacja Wanda nadawała codziennie w języku polskim komunikaty, przemówienia propagandowe i pieśni polskie z płyt gramofonowych. Audycje megafonowe kończyły się zawsze zapowiedzią: „A teraz piosenka dla gen. Andersa”, po czym puszczano płytę: „Umarł Maciek, umarł”...

Nie byliśmy zaskoczeni tą propagandą, gdyż jeszcze 2 marca 1944 otrzymaliśmy meldunek z Kraju treści następującej: „W Drukarni Narodowej w Krakowie drukują Niemcy w wielkiej ilości ulotki dla żołnierzy polskich we Włoszech, i należy się spodziewać, że w najbliższych dniach będą one tam masowo zrzucone. Treść ich, to namawianie żołnierzy polskich do zaprzestania walki u boku Anglii, gdyż walka ta da efektywną pomoc Sowietaom, którzy wymordowali w Katyniu tysiące żołnierzy polskich, a dziś dążą do opanowania i zniszczenia całego Polski. Każdemu żołnierzowi polskiemu, który przejdzie na stronę niemiecką, Fuhrer gwarantuje zwolnienie z niewoli i odesłanie do ojczyzny z zapewnieniem godziwego zatrudnienia”.

Propaganda ta nic Niemcom nie dała. Przez cały czas mieliśmy na cały Korpus zaledwie 5 dezertów. Żołnierze doskonale zdawali sobie sprawę z intencji Niemców. Żartowali sobie, nazywając radiostację Wandą niemiecką w odróżnieniu od czerwonej Wandy, jak nazywali sowiecką radiostację Kościuszki od imienia Wandy Wasilewskiej, głównej działaczki tzw. Związku Patriotów Polskich w Rosji, córki prawdziwego patrioty Leona Wasilewskiego, która została żoną komunistycznego członka rządu ukraińskiego Korniejczuka, uzyskała nagrodę literacką im. Stalina w Rosji i zagubiła tam polskie tradycje rodzinne i narodowe.

Uderzająca była dla nas jedynie uporczywość tej propagandy, prowadzonej przez cały czas walk we Włoszech. Widocznie Niemcy przywiązywali dużą wagę do walk 2. Korpusu. Argumenty niemieckie zmieniały się w zależności od położenia politycznego i wojskowego. W pierwszym okresie nawoływano do powrotu do Kraju i zaprzestania walki. W drugim atakowano przywódców politycznych i wojskowych. Wreszcie w trzecim, w miarę posuwania się wojsk sowieckich w głąb Polski, ukazywano, jaki los czeka Polskę i Polaków pod zaborem sowieckim. Dopiero to mogło być niebezpieczne, ponieważ uderzało w najdrażliwsze struny serc; żołnierz czuł, że tu zawarta jest prawda; zbyt dobrze poznał bolszewików podczas przymusowego pobytu w Rosji. (...)

Churchill: Wielka Brytania, zawierając przymierze z Polską, nigdy nie gwarantowała granic Polski,

gwarantowała i zaciągnęła zobowiązanie wobec Polski co do jej istnienia jako państwa wolnego, niezależnego, całkowicie suwerennego, silnego, wielkiego, by jego obywatele mogli żyć szczęśliwie z możliwością swobodnego rozwijania się bez żadnych obcych wpływów, zagrażających z zewnątrz. Mogę Pana Generała zapewnić, że nie zmieniliśmy swego stanowiska, Polska nie tylko będzie istniała, ale musi zająć czołowe miejsce w Europie. Musicie mieć do nas zaufanie, dotrzemy naszej obietnicy. Jednak nie powinniście się sztywno upierać w sprawie waszych granic wschodnich. Otrzymacie ziemie na zachodzie o wiele lepsze aniżeli błota poleskie. Odra będzie waszą granicą na zachodzie, a co do wybrzeża morskiego, tyle jest możliwości lepszych i szerszych od każdego korytarza. Wszystkich Niemców, nie wyłączając kobiet i dzieci, usunie się do Niemiec z terytoriów, które przypadną Polsce. Są ludzie, którzy mówią, że ci wysiedleni Niemcy nie mieszcza się w tak pomniejszych Niemczech. A ja twierdzę, że Niemców zginęło już przeszło 6 milionów, zginie ich jeszcze dużo więcej, więc nie będzie z tym kłopotu.

Anders: Historia nas uczy, że po każdej wojnie następują pewne zmiany granic. Rozumiem, że można przesunąć granicę 10 km na zachód lub 15 km na wschód. Ale sprawa granic może być ostatecznie i wyłącznie załatwiona tylko na konferencji pokojowej, po całkowicie zakończonej wojnie. Nie zgodzimy się nigdy, żeby jeszcze w czasie wojny bolszewicy mieli zabrać tyle terytorium ile chcą. Nie zgodzimy się nigdy na stworzenie faktów dokonanych.

Churchill: Oczywiście, tylko na konferencji pokojowej te sprawy mogą być zdecydowane. (Zwracając się do gen. Andersa i dotknąwszy go ręką): Będziecie na konferencji. Musicie mieć do nas zaufanie; jeżeli Wielka Brytania weszła do tej wojny, broniąc zasady waszej niepodległości, mogę was zapewnić, że nigdy was nie opuścimy. (...)

Dwudziestego trzeciego lipca [1944] gen. Sosnkowski i ja otrzymaliśmy zaproszenie do wzięcia udziału w przyjęciu gen. Collingwooda przez 8. armię. Tym generałem Collingwood był król angielski Jerzy VI, który przybył do żołnierzy frontu włoskiego. W Perugii 26 lipca zostałem przedstawiony królowi i miałem zaszczyt odbyć z nim krótką rozmowę. Następnie, po przeglądzie i defiladzie wojsk, gościna w kwaterze polowej gen. Alexandra, wieczorem obiad u gen. Leese'a, dowódcy 8. armii. W czasie obiadu grała orkiestra 2. Korpusu. Królowi podobała się szczególnie melodia piosenki o Lwowie, „A gdybym się kiedyś urodzić miał znów, to tylko we Lwowie”. Gen. Alexander i gen. Leese znali ją prawie na pamięć z wielu odwiedzin Korpusu. Śpiewaliśmy razem, król nucił. Nuty i słowa (fonetycznie) tej piosenki przesłałem później królowi dla przypomnienia tego wieczoru.

Józef Czapski Na nieludzkiej ziemi (fragmenty)

Wśród jadących w moim wagonie był porucznik Ralski, oficer rezerwy 8 pułku ułanów, prof. Uniwersytetu Poznańskiego, przyrodnik. Z nim razem przebyłem cały miesiąc wrzesień w szwadronie zapasowym 8 p. ułanów. Człowiek ten opuścił żonę, córeczkę i do marca 1940 roku nie wiedział nic o ich losie. Dopiero w marcu otrzymał wiadomość, że Niemcy wyrzucili żonę i dziecko z mieszkania w Poznaniu, pozwalając zabrać tylko ręczną walizkę. Przez szereg lat pisał on o trawach polskich, żmudnie zbierał materiały; wielka praca na ukończeniu, suma długich lat precyzyjnych badań naukowych, które na spółkę prowadził, została tam na miejscu wraz z wszystkimi materiałami zniszczona.

Nie znałem go przed wrześniem. Robił na pierwszy rzut oka wrażenie dziecinne i wcale nie wojskowe. Nazywaliśmy go żartobliwie „bebe Cadum”, bo miał twarz dziecka z popularnej reklamy mydła Cadum. I właśnie on wykazał rzadki hart i spokój. Miał wielki autorytet wśród żołnierzy podczas tragicznych tygodni września i nic nie umiało go wyprowadzić z równowagi.

Nawet podczas podróży do Starobielska, kiedy wieziono nas przez zaśnieżone stopy ukraińskie, kiedy zmarznięci i głodni nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. Ralski z całą namiętnością uczonego przyglądał się stepom, badyłom traw sterczących spod śniegu. Ten najlepszy Polak, najczulszy mąż i ojciec przyznawał mi się wówczas, z pewnym jakby wstydem, że trawy te wzbudzają w nim takie zainteresowanie, że jest w stanie nie tylko oderwać się od aktualnej rzeczywistości, ale jeszcze odczuwać głęboką radość patrząc na nieznane stopy, które zawsze marzył poznać.

Jeszcze we wrześniu, kiedy musieliśmy schodzić z drogi, bo samoloty niemieckie ostrzeliwały nas z karabinów maszynowych, opowiadał mi dziwne historie o chwastach, których ziarna z Kanady przedostały się do Europy i bujnie się rozrastały na polu, na którym się kryliśmy przed samolotami.

W Starobielsku zaczął pisać książkę o łąkach i lasach i jeszcze w kwietniu 1940 r., parę dni przed wywiezieniem go w nieznanym kierunku, pokazywał mi z rozjaśnioną twarzą listki i trawki, które zaczynały rosnąć w obozie, opowiadał mi o ich cechach i właściwościach.

Jeżeli ten uczonego, człowiek czarującej dobroci i wielkiego charakteru, dostał wraz z innymi kulą w nasadę czaszki, zachował na pewno do ostatniej chwili tę samą cichą równowagę ducha, która ani na chwilę nie opuściła go w ciągu ciężkiej zimy, którąśmy spędzili. (...)

Prawie natychmiast po przyjeździe do Starobielska zaczęły się samorzutnie organizować, w początku jawnie, potem, gdy zostały zakazane, po cichu, kółka odczytowe. Wśród pierwszych, którzy przemawiali, był por. Evert, dziś w Armii Polskiej. Wykłady jego, przesiąknięte gorącym optymizmem, zbierały wielu słuchaczy. Wskutek tego został on bardzo szybko wywieziony, a z więzienia w Moskwie, po układzie polsko-sowieckim, wypuszczony. Jednym z pierwszych również był major Sołtan, o którym wspominałem, oficer zawodowy, wykładowca historii wojen w Grudziądzu, który jako szef sztabu gen. Andersa podczas kampanii wrześniowej przemierzył całą Polskę od Mławy po granicę węgierską, walcząc nieustannie i szereg razy bijąc wojska niemieckie, a potem przebijając się przez wojska sowieckie. Nikt wśród nas nie mógł mówić o kampanii wrześniowej z takim jak on autorytetem i powagą. Nie było w tym, co mówił, ani śladu błagi czy zbyt łatwego optymizmu, ale właśnie dlatego nic tak nie „prostowało” jeńców starobielskich jak jego odczyty, w których wykazał nie tylko braki i błędy naszej kampanii, o których się mówiło bezustannie z namiętną goryczą w pierwszych tygodniach po katastrofie, ale i wkład bohaterstwa dowódców i żołnierzy w tej nierównej walce wrześniowej.

Znałem go jeszcze w 1920 r. jak o podporucznika 1 p. ułanów, kiedy w bitwie po Żółtańcami, dowodząc plutonem k.m., otrzymał *Virtuti Militari*. Obaj jego dziadkowie byli zesłani przez Rosjan na Sybir, matka jego urodziła się nad Bajkałem. Jest to jeden z ludzi, o którym myślę, gdy szukam wśród moich znajomych człowieka o cechach wodza. Ataturk powiedział, że na to, aby być wodzem, trzeba mieć serce z marmuru, błyskawiczną decyzję i dar przewidywania. Właśnie błyskawiczność decyzji cechowała Sołtana nawet w drobnych rzeczach, zdolność do skrótowego myślowego, który natychmiast krystalizuje się w decyzję czynną, gotowość brania na siebie odpowiedzialności, połączona z zupełnym niemyśleniem o sobie, zupełnym oddaniem sprawie nie tylko dlatego, że tak trzeba, ale dlatego, że naprawdę człowiek jest całkowicie sprawą tą pochłonięty.

W ciężkich pierwszych tygodniach wykazał on spokój, równowagę i taki skromny, bez frazesów hart, że wszyscy mu bliscy, a nawet tacy, którzy go prawie nie znali, czerpali w zetknięciu z nim siłę. Nie miał on nic, ale naprawdę nic, z jakichś ambicji fuhrerowskich, które niestety są tak częste u ludzi najmniej powołanych. I może dlatego właśnie tak zniewalał nas wszystkich i tyle nas uczył. Wykorzystał wolny czas w obozie, by z nami wszystkimi mówić o sprawach politycznych i społecznych Polski, by każde zagadnienie na nowo przepracować i przemyśleć, z rzadką rzetelnością i dobrą wolą. Walczył on w 1926 r. przeciwko Piłsudskiemu. Był jednocześnie entuzjastą pism Marszałka, które wszystkie czytał i znał gruntownie. Umiał myśleć obiektywnie i beznamytnie, sądził surowo nie tylko przeciwników, ale właśnie ludzi politycznie sobie bliskich. Bez ustanku się uczył i wykorzystywał ku temu wszystkich i wszystko, rozszerzał swój światopogląd, przewyciężał uprzedzenia czy urazy środowiskowe czy klasowe. I już wtedy, zaraz po katastrofie, uczył nas myśleć nie pod kątem takiej czy innej partii przeszłości, ale pod kątem nowej rzeczywistości polskiej, która nas w przyszłości w kraju będzie oczekiwać, gdzie pracować razem będą musieli ludzie, może jeszcze wczoraj skłócenii, należący do różnych partii czy ugrupowań, wszyscy, dla których dobro Polski będzie naprawdę celem najważniejszym.

Był głęboko religijny tą religijnością cichą, prawie skrytą, nie narzucającą się nikomu, a jakby rozświetlającą całą jego postać. Opowiadał mi wiele o swej siostrze zakonnicy, która już od kilkunastu lat pracowała w najdzikszych prowincjach chińskich i w leprozoriach Indochin. On sam nie wyobrażał sobie życia poza Polską. „Całe moje życie przeszło między Brodami a Grudziądem” - mawiał wesoło. Nie znosił słów patetycznych i sam nigdy ich nie wypowiadał, ale pamiętam, że kiedyś mówiłem mu o znajomym, który wyjechałszy z Polski, nie wrócił don więcej. Adam Sołtan się zachnął: „Nie rozumiem - powiedział - ja, gdybym mógł, to bym z końca świata na kolanach do Polski wrócił”.

Zostawił żonę i dwie córeczki w Polsce. (...)

Chciałbym zaraz obok Sołtana wspomnieć Tomasza Chęcińskiego, jako typ człowieka, bieguna przeciwny Sołtanowi. Prawnik-oficer, skończył Szkołę Nauk Politycznych w Warszawie, pracował w województwie śląskim, potem w Małopolsce w nafiarstwie. Pochodził z Zydaczowa, trochę batiar lwowski, wybuchowy, niezmiernie ruchliwy, miał w Starobielsku dziesiątki stronników i przyjaciół z najróżniejszych obozów i środowisk. Wszystkich nawracał z namiętnością na swoją wiarę, a wiarą tą była federacja narodów od Skandynawii do Grecji. Wierzył wówczas, że właśnie ta idea po wojnie zwyciężyć musi. Każdy pretekst mu służył, by kolegom myśl o niej narzucić. Umiał się tak zapalać w dyskusji, że po burzliwej rozmowie, gdy nie udało mu się sceptyka przekonać, a ten mu jeszcze brzydko dociął, wracał na swoją pryczę i płakał ze złości. Nie była to przy tym mózgową wyłącznie koncepcją, ale namiętność. Parę lat przedtem, gdy jeszcze był biednym studentem w Warszawie, tak się przejął powodzią w Bułgarii, że poszedł do poselstwa bułgarskiego i złożył tam 5 złotych na powodzian ku zdziwieniu posła. Sprawy każdego narodu od Skandynawii do Grecji naprawdę go obchodziły jak własne. Miał dziesiątki argumentów -

narodowych, ekonomicznych, by ludzi do swej idei pociągać. Dosłownie elektryzował do tych spraw kolegów, którzy do niedawna jeszcze nie umieli myślać wybiegać poza granice Polski. Że był jednocześnie najlepszym kolegą, gotowym oddać ostatnią kromkę chleba lub ostatnią szczyptę cukru bez namysłu, że był dobrym szachistą i najweselszym kompanem, toteż na jego pryczy był zawsze tłum. I chyba żaden ze znanych mi starobielszczan nie miał takiego daru serdecznego koleżeństwa.

Jeżeli chodzi o politykę zagraniczną Polski, mówił o niej z pasją i dużym wycuciem, jak o sprawie, którą się od lat interesował i w której, w przyszłości, chciał mieć głos. Pisał na skrawkach papieru artykuły polityczne i uparcie wierzył, że jeszcze w 1940 r. zwieje do Stambułu, że tam książkę o federacji napisze, a potem pojedzie do Francji na front.

Dziś jakże by nam był potrzebny ten fanatyk Międzymorza. (...)

Mój towarzysz był z Lasek. Był jednym z budowniczych tej dziwnej społeczności. Znałem Laski jeszcze za czasów, kiedy to była brzydka, niezabudowana, chudym laskiem obrzeżona, piaszczysta równina podwarszawska. Wtedy założyciele Lasek stawiali tam pierwsze kroki. Na tej wydmie powstał w ciągu 20 lat, z niczego, wielki zakład dla ociemniałych i ośrodek życia i pracy katolickiej w Polsce. Laski były dla plutonowego Świątkowskiego więcej niż domem rodzinnym.

Znałem mego towarzysza wyprawy do Buzułuka przelotnie w Polsce, a potem zetknąłem się z nim bliżej w obozie. Irytował mnie z początku. „Słoń i sprawa katolicka” - nie było tematu, którego tak czy inaczej nie starał się związać ze sprawą katolicyzmu. Tylko pracując w Tocku z nim lub blisko niego, poznałem, czym był w nim ten katolicyzm: był przede wszystkim niegasnącą franciszkańską miłością bliźniego. Ten plutonowy o chudej, zmęczonej twarzy, z workami pod oczami, marnym sercu i zawsze w niemożliwie wymiętym mundurze, brał na siebie każdą najniewdzięczniejszą pracę, ganiał ciągle po punkcie zbornym, przyprowadzał najbardziej osłabionych, wyziębniętych i zawszonych do naszej budki, szukał dla nich jakiegoś okrycia, przy wielkiej dobroci charakteru, nawet miękkości, był w takich wypadkach uporczywy i nieustępliwy, umiał docierać wszędzie, by jakiemuś cierpieniu ludzkiemu ulżyć. Tylko nad ranem stale ginął z budki, biegł 4 km do improwizowanej kapliczki na mszę, skąd powracał z zapasem siły, prawdziwej słodyczy, do pracy. Nie wiem, czy można było konsekwentniej, żarliwiej, aż w Tocku, pielęgnować Laskową tradycję. (...)

Ta trzecia, buzułucka, Wilia na obczyźnie zdawała mi się niegodna tamtych - hałaśliwa i bez treści. Ale jedna chwila tego wieczoru była dla mnie znacząca, to rozmowa z Eugeniuszem Lubomirskim. Był wówczas jeszcze szeregowym. Szedłem na Pasterkę, spotkałem go na szerokich schodach sztabu, schodził z góry, robił wrażenie dziwnie młodego na swoje czterdzieści parę lat. Byliśmy razem w szkołach. Kiedy go poznałem, uczył się tyle tylko, ile to było konieczne, nieustannie śpiewał piosenki z operetek wiedeńskich, z pasją grał w tenisa, a właściwie interesował się naprawdę tylko dziewczętami. Miałem go zawsze za miłego lekkoducha, nic więcej. Potem straciliśmy się z oczu. Przebywał szereg lat w Stanach Zjednoczonych, wrócił do kraju, przeżył okres pracy w Polsce, gdzie z dużym rozmachem i sukcesem prowadził wielką fabrykę. Spotkałem go przelotnie przed wojną. Miał pełno pieniędzy po kieszeniach, był gruby jak beczka i wyglądał na „burżuja” prawie takiego, jak się ich widzi na sowieckich afiszach. Teraz miał za sobą dwa lata więzień i obozów północnych. W więzieniach Lwowa i Kijowa bito go, zamykano na dobę w 20-stopniowy mróz w gaciach do nieopalonego wychodka, kazano mu przez dobę nieustannie chodzić, tak że miał nogi czarne i spuchnięte jak bale, potem nagle prowadzono do wytwornego salonu, gdzie elegancki generał sowiecki proponował mu, by wracał do Krakowa pod jednym jednak małym, malutkim warunkiem, że będzie stamtąd dostarczał informacji o... Ukraińcach. „My wiemy, że wy żonę bardzo kochacie, za 10 dni możecie być u niej w Krakowie, wy patriota, też nie prosimy, byście donosili na Polaków, ale na Ukraińców co wam szkodzi? Możecie się na tę

propozycję nie zgodzić, ale wtedy już nigdy żony nie zobaczycie.” (Było to jeszcze w okresie sojuszu sowiecko-niemieckiego).

Lubomirski odmówił i też natychmiast został wytransportowany z Kijowa - zamiast do Krakowa, na daleką północ.

Więzienia i obozy na północy zniósł świetnie, spał nawet nie na deskach, ale na pryczach zbitych z okrągłaków. Poprzez dwuletnią poniewierkę doszedł z powrotem do tej samej formy fizycznej, jaką miał 20 lat temu, nie tylko że schudł, ale nawet w ruchach i w całym zachowaniu był uderzająco młody.

W ten dzień wigilijny jednak, tam na schodach sztabu, zrobił na mnie wrażenie przygnębionego, mówił bardzo spokojnie o wojsku, o zachowaniu się niektórych naszych oficerów: „Na gwałt chcą wywołać uczucia bolszewickie w wojsku, na każdym kroku wyróżniają się od żołnierzy (choćby w przydziale wódki), stwarzają sobie na gwałt na nowo przywileje, wyżsi oficerowie mają kochanki, które się szarogęsą w sztabie, dowództwo nasze jest zbyt miękkie wobec oficerów. Bolszewicy to wszystko widzą, wierz mi, że się cieszą. Tyle nasłuchałem się krytyki Polaków przez dwa lata więzienia

i w tej krytyce nie wszystko było fałszywe. Jeżeli wśród młodych - mówił z naciskiem - nie ma innego nastroju, to już nie wiem, skąd spodziewać się polepszenia”. (Słuchając Lubomirskiego, myślałem o podchorążych z Griazowca, spędzających dzisiejszą noc wigilijną po namiotach w mroźnym stepie, wśród swoich liniowych oddziałów).

„A przy tym, jakże to wojsko organizować! - mówił dalej Lubomirski - gen. Panfilów (przystawiony do naszej armii generał sowiecki) powiedział mi w Moskwie, że wyćwiczyć wojsko pancerne można, mając przed sobą trzy lata nauki, a my się łudzimy, że w kwietniu będziemy gotowi. Przecież bolszewicy umyślnie nie dają nam broni i pragną, żebyśmy się moralnie rozłożyli w tym oczekiwaniu.

Wiele mówiłem z Anglikami w Moskwie, oni zupełnie tak się nami nie entuzjazmują, jak to sobie niektórzy koledzy wyobrażają. Uważają nas za naród, który ma wspaniałe zrywy, ale który nie umie się dopracować czegokolwiek bądź systematycznie. - Co będziemy z wami robić po wojnie? - powiedział mi jeden z nich, który nie wierzył, by to wojsko mogło się nauczyć trudnej sztuki dzisiejszego wojowania. Zapewniam cię, jeżeli przestaniemy być Anglikom użyteczni, to potrafią się wymigać ze wszystkich zaciągniętych wobec nas zobowiązań.

Popatrz na naszą bezmyślność; te kursy samochodowe, które prowadzi tu Kamiński, kto chodzi na jego wykłady, prawie nikt z młodych, sami starzy - płk Sz., kpt. Ch., zamiast żeby te odczyty były obowiązkowe właśnie dla młodych. Przecież armia zmotoryzowana musi mieć tysiące i tysiące kierowców, skąd ich weźmiemy?”

Powtórzyłem mu zdanie drugiego pesymisty, ks. Kantaka, który tak samo rozaczał mi kiedyś czarne horoskopy, dodając jednak na końcu: „jeśli Pan Bóg naród żydowski, z którym tyle miał kłopotów, z niewoli wyprowadził, może i nas wyprowadzi, choć robimy wszystko, żeby się zgubić”.

W tej ostrej ocenie Lubomirskiego nie było śladu zarozumiałości czy upartego, z góry powziętego uprzedzenia, był smutek, może bierny, i niepokój czujnej inteligencji.

Przeszliśmy na twardą ławeczkę ustawioną naprzeciw szerokich schodów. Jak że mi się inny wydawał mój rozmówca od wesołego, lekkomyślnego chłopaka sprzed 20 lat.

— Dlaczego ty właśnie — spytałem — widzisz to wszystko tak jasno?

- Ależ dlatego, że nie darmo przeżyłem okresy bardzo ciężkie w Nowym Jorku, gdzie nocowałem na ławkach w ogrodzie, i nie darmo wiele lat siedziałem na Zachodzie. Nic tak nie uczy, jak życie w krajach, gdzie ani pieniądze, ani nazwisko nie mogą wystarczyć, gdzie stanowisko można wyrobić sobie wyłącznie własną pracą.

Dziś, przepisując notatkę z rozmowy na schodach sztabu w Buzułuku i patrząc parę lat wstecz, stwierdzam, że nie we wszystkim miał rację. Pomimo niewiary Anglika, Moskwy, sceptycyzmu fachowca od wojsk pancernych gen. Panfilowa, pomimo nowych fantastycznych trudności, o których obaj nie mieliśmy jeszcze wówczas wyobrażenia, wojsko polskie nauczyło się „trudnej sztuki dzisiejszej wojny”. To wojsko polskie miało podczas kampanii włoskiej te „tysiące i tysiące kierowców”, o których mówił Lubomirski, i ci sami młodzi, których nie można było zapędzić w Buzułuku na kursy samochodowe, zabrali się do auta z pasją, kiedy można było sięść za kierownicą, a nie uczyć się szoferki wyłącznie na wykresach, jak w Buzułuku. Ale wówczas rozmowa z Lubomirskim, kontrast Wili w niewoli i Wili w wolności doprowadzały mnie do wniosków ponurych, że każdy z nas ma w sobie tak mało hartu, że musi mieć nieszczęścia i ciosy, żeby dojść do jakiejś takiej formy, że zmiana na lepsze rozpaja nas tak szybko, że błady, mało ofiarny jest nasz indywidualizm, którym się tak szczycimy. Cóż możemy przeciwstawić tym zastępom ślepo posłusznych wykonawców takiej czy innej koncepcji politycznej czy takiej czy innej dyktatury, zastępom, które wyhodowały państwa totalitarne, nazistowskie czy sowieckie - nasze „kochajmy się”, które dziś przy wódce obserwowałem, przy których tylu z nas załatwia własne drobne interesy, nasze metody załatwiania spraw na „Tadek i Władek”, gdzie bez osobistych stosunków nic upchnąć nie można? Bo nasze niezliczone ofiary, nasze wywiezione, wymordowane rodziny, to wszystko, co tak wiele znaczy w planie duchowym, to jest atut przeciwko nam dla naszych wrogów w planie materialnym. Dla krajów, gdzie rewolucja zaprawiała ludzi do nieludzkiej bezwzględności, do ślepego posłuszeństwa, do wykonywania zadań w krwi i wbrew wszystkiemu, co człowiekowi drogie, gdzie zaprawiała ich do obowiązku delacji, gdzie mąż ma powinność zadenuncjować żonę, a syn ojca, gdzie w podręcznikach szkolnych dla najniższych klas znajdujemy historyjki sławiące donos - co znaczą nasze ofiary i męstwo tylu tysięcy Polaków, męstwo w obliczu zguby, w obliczu porażki, bez nadziei i do końca, w świecie, gdzie znaczy tylko siła, gdzie znaczy tylko władza, a człowiek nie znaczy nic.

Rafał Gan-Ganowicz Kondotierzy (fragmenty)

„Rafał, organizacja wpadła, szukają cię”. Tych kilka słów rzuconych spiesznie przez kolegę, w sobotę 24 czerwca 1950 roku, spowodowało największy przełom w moim życiu. Czasy były stalinowskie. Prześladowano już nie tylko za czyny, ale i za słowa. Starano się zabijać myśli. Garstka młodzieży walcząca o źdźbło prawdy przy pomocy ulotek i napisów na murach zrujnowanej jeszcze Warszawy ryzykowała więcej niż życiem. Tortury były na porządku dziennym. Bałem się. Od tego momentu byłem tropioną zwierzyną. Zapanować nad zdenerwowaniem i strachem było trudno. Powoli jednak ochłonąłem. Trzeba było działać. Do mieszkania wrócić nie mogłem — a tam miałem pieniądze i... broń.

Och, nie powiem, że byłem zupełnie nieprzygotowany. O możliwości wsypy myśleliśmy wszyscy. Ale jakoś abstrakcyjnie. Plan miałem taki: dostać się do Wrocławia, gdzie mogłem ewentualnie otrzymać fałszywe papiery jako niby repatriant ze wschodu. Ale Wrocław daleko, a ja się bałem, by nie dostać się żywym w ręce czerwonych. Pojechałem na Żoliborz, w pobliże domu, w którym mieszkałem. Po dłuższej obserwacji spostrzegłem idącego ulicą synka dozorca. Dwunastoletni Wojtek, rudy jak wiewiórka warszawski ulicznik, już nie raz oddawał mi przysługi. Byłem pewny jego dyskrecji. Gdy gwizdnąłem, przybiegł za krzaki, w których byłem ukryty. Potwierdził, że „smutni panowie” zwiedzili już moje mieszkanie nie przeprowadzając jednak rewizji, wyszli i teraz czekają na mnie w bramie naprzeciwko.

Mój młody przyjaciel zgodził się wynieść z mieszkania pieniądze i pistolet. Gwizdząc głośno pobiegł i zniknął w czeluściach klatki schodowej. Na ulicy nikt nie drgnął. W chwilę później miałem przy sobie sporą sumę pieniędzy, a pasek od spodni obciążał Walter P38. Poczuję się raźniej. Udałem się na dworzec, by zorientować się w rozkładzie jazdy. Ku mojemu przerażeniu zauważyłem, że kasy są pod obserwacją. Pociąg do Wrocławia odchodził o dziesiątej wieczorem. Była dziewiąta. Dałem nura w tłum i znalazłem się na ulicy. Ukryłem się w ruinach i zapaliłem papierosa. Za piętnaście dziesiąta wróciłem na dworzec. Wmieszany w tłum, bez biletu, wtoczyłem się na peron. Przeciążona obsługa nie była w stanie wszystkich skontrolować. Charakterystyczni „smutni panowie” również byli bezradni. Pociąg do Wrocławia stał. Już miałem się wcisnąć do przepelnionego wagonu, gdy zauważyłem stojący na przeciwległym torze pociąg do Berlina. A może uciec za granicę? Miałem jeszcze kilka minut. Wszedłem do pociągu berlińskiego gorączkowo rozglądając się za możliwą kryjówką. Nie znalazłem nic. Ale przypomniawszy sobie Londona, postanowiłem rzucić okiem na zewnątrz pociągu. Zajrzałem pod wagony. Między metalowymi poprzeczkami podwozia a podłogą wagonu była szczelina, w którą ktoś tak szczupły jak ja mógł się wcisnąć. Decyzję podjąłem natychmiast. Wgramoliłem się do kryjówki obrywając guziki od marynarki i tłukąc zegarek. Z drugiej strony peronu ruszył z małym opóźnieniem pociąg do Wrocławia. Kości zostały rzucone.

Po pewnym czasie w wagonie nade mną zaczął się ruch. Wchodzili pasażerowie. Z desek podłogi prosto w oczy sypał mi się kurz. Chciało mi się pić i palić. Czas płynął poza kontrolą stłuczonego zegarka. Wreszcie pociąg ruszył.

Leżałem na żelaznych belkach nieamortyzowanego podwozia. Nade mną, na resorach, kołysał się wagon. Rozhuśtana podłoga dotykała piersi. Ogarnął mnie lęk. Rozdygotany wagon mógł mnie zmiażdżyć. Kurz sypał się ciągle. Musiałem zamknąć oczy. I tak mknąłem w ciemnościach ciepłej na szczęście nocy, obrzucany żwirem i ogłuszony hukami kół. Przeklinałem mój pomysł. Ogarniały mnie wątpliwości czy gdziekolwiek dojadę. A nawet jeśli tak — to mnie złapią. Ale żywy się nie dam. Postanowiłem mocno, że jeśli mnie wykryją, to drogo sprzedam skórę. Powoli, z trudem,

zaczęłam drzeć na drobne kawałki wszystkie dokumenty i papiery, jakie miałem przy sobie. Na wszelki wypadek. By nie ułatwić „im” identyfikacji zwłok. Nienawidziłam „ich”. Za prześladowanie patriotów, za mordowanie akowców, za „zapłutego karła reakcji”... Miałem trochę starszego kolegę. Chodził o kulach. Ranny w powstaniu. Odznaczony. Patriota. Bohater. Kaleka. Gdy zgłosił się do odpowiedniej instytucji z prośbą o stypendium jako sierota i inwalida, „czerwony” urzędnik zrzucił go ze schodów wyzywając od bandytów. Jego! Kalekę! Bohatera!

Pociąg pędził dalej. Powoli uspokajałam się. W oczach kurz. W ustach piach. W uszach huk kół i świst wiatru. Nie wiedziałem gdzie jestem, ile upłynęło już czasu. Pomyślałem o kolegach. Nie wiedziałem kto wpadł, kto ocalał. Zaczęło się to niewinnie. Ulotki i afisze. Tajniacy z urzędu bezpieczeństwa nie próbowali nas nawet zatrzymać. Strzelali jak do kaczek. Jeden z kolegów był ranny w płuco, innemu przestrelili kolano. Jeszcze innego dobili na śledztwie. Nikogo nie wydał. Było to rok temu. Postanowiliśmy się bronić. W ścisiku tramwajowym kradliśmy milicjantom pistolety. Rozbroiliśmy w ciemnej ulicy sowieckiego żołnierza. Przy naklejaniu plakatów był teraz kolega w „obstawie”. Gdy strzelano do nas, ukryta w ruinach „obstawa” odpowiadała ogniem. Ubecy stali się mniej odważni. A teraz wsypa!

W pewnym momencie pociąg zaczął zwalniać. Kutno? Koluszki? Nie wiedziałem. Z przerażeniem poczułem, że pod moimi plecami podnosi się metalowa sztaba i unosi mnie w kierunku rozhuśtanej podłogi wagonu. Podnosi i grzeje przez ubranie. Czuję z tyłu gorąco, a z przodu rytmiczne dotknięcia szalejącej podłogi. Zdrętwiałem ze strachu. Zorientowałam się, że leżę na przekładni hamulca. Co będzie gdy pociąg zacznie hamować mocniej? Podniesie mnie wyżej i zgniecie. Umrę z poparzenia. Gdzieś czytałem, że hamulce kolejowe rozgrzać się mogą do czerwoności. Pociąg wreszcie stanął na bocznym torze jakiegoś dworca. Przez szparę między ścianą wagonu a podwoziem w poświacie księżyca widziałem zardzewiałe szyny i dębowe kłody. Z dala smętne światło latarni. Pociąg ruszył chyba po godzinie. Za tym Kutnem, czy Koluszkami, tory były już lepsze. Mimo napięcia nerwowego i huku momentami drzemałem. Trwało to wieczność. W ustach zgrzytał mi piach, język miałem jak kołek, a załzawione oczy obrośnięte kurzem szczypały mnie mocno. Gołe ręce i twarz smagane były dotkliwie żwirem. Na spieczonych wargach zakrzepła krew. Piekielna podróż.

Potem świt... Robiło się coraz jaśniej. Pociąg zbliżał się do Poznania. Nowy strach. Czy wlażem pod właściwy wagon? Bo kilka wagonów szło z Poznania do Szczecina. Pociąg zwolnił i stanął na stacji. Słysząc huk odczepianych wagonów. Silne uderzenia lokomotywy. I nic. Długo jak wieczność: nic! Potem rosnący, zbliżający się dźwięk. Od czoła pociągu nadchodził kolejarz sprawdzający hamulce wagonów. Dużym młotem uderzał w hamulec i słuchał jaki wydaje dźwięk. Wiedziałem, że mnie wykryje. Leżąc na przekładni hamulcowej niewątpliwie musiałem przytłumić dźwięk. Niezdecydowanie ścisnąłem w rękę rękojęść Waltera. Na to nie byłem przygotowany: przecież nie będę strzelał do kolejarza! Jeszcze kilka uderzeń i już jest. Uderzył, posłuchał i... zajrzał w lufę Waltera.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Powoli wyprostował się, uderzył w dwie następne osie i spieszonym krokiem, oglądając się czasem, poszedł w kierunku pobliskiego budynku i zniknął mi z oczu. Myślałem gorączkowo. Co robić? Uciekać? W biały dzień, na dworcu? A jeśli pociąg ruszy w momencie, gdy będę się spod niego gramolił? Przecież to śmierć. Czas upływał. Śledziłem peron. Spodziewałem się ujrzeć biegnących milicjantów z bronią w rękę. A tu nic. Cisza. Wsiadają do pociągu nieliczni pasażerowie. Czas upływa. Nabrałem otuchy...

Gdy już pociąg opuścił Poznań i biegł przez równinę, powoli odprężyłam się. Stary kolejarz najwyraźniej nie zdradził. Co sobie mógł myśleć ten człowiek o młodym chłopaku ukrytym pod wagonem kolejowym kurczowo ścisnącym broń?

Fizycznie czułem się coraz gorzej. Od wiatru i huku bolała mnie głowa a pragnienie stawało się nieznośne. W ustach zgrzytał piach, śliny brakowało mi nawet na przetarcie z kurzu załzawionych oczu. Nie wiedziałem jak daleko jest do granicy Niemiec Wschodnich ani jak ta granica wygląda. Znowu ogarnął mnie lęk. W miarę upływu czasu — którego nie mogłem mierzyć inaczej jak tylko rosnącym zmęczeniem i bólem obijanych o żelazo gnatów — denerwowałem się coraz bardziej zbliżającym się przejściem granicznym.

A pociąg pędził dalej... Czas robił swoje: zaczął rosnąć we mnie fatalizm. Zaczęło mi być wszystko jedno. Chciałem już tylko końca przygody. Niech się dzieje co chce, byle szybko, byle już nie tłuc się pod pociągiem oczekując groźnej przeprawy. Wiedziałem, że w razie czego, nie dam się. Wyobrażałem sobie krótką walkę, strzelaninę i serię z sowieckiego automatu. Czy śmierć boli? Przestałem się bać. Patrzyłem na siebie jakoś z zewnątrz. Jak na obcego, który jest w strasznej sytuacji.

Pociąg mknął dalej. Gdy zacząłem się znowu głowić czy czasami nie jadę do Szczecina, nagle poczułem, że znowu unosi mnie sztaba przekładni hamulca... zaczęliśmy raptownie zwalniać. Pociąg wtoczył się między wysokie siatki ogrodzenia uwieńczone drutem kolczastym. Wiedziałem, że to już granica.

Na górze w wagonach zaczął się ruch. Jakieś głośnie słowa, tupot nóg nad moją głową, otwieranie i zatraskiwanie drzwi. Szuranie przesuwanych bagaży. Trwało to chwilę i odgłosy zaczęły się oddalać ku przodowi pociągu. Z następnego wagonu wyprowadzono kogoś, kto głośno protestował. W momencie gdy odetchnąłem z ulgą i odprężyłem się, moją uwagę przyciągnął jakiś ruch.

Od strony lokomotywy szło czterech mężczyzn w mundurach. Przez szparę między podwoziem a ścianą wagonu widziałem tylko nogi. Mundury były różne. Poznałem jeden polski i dwa sowieckie. Czwartą kolor spodni był mi nieznany... Przypuszczałem, że to Niemiec. Od czasu do czasu mignęła mi jakaś twarz i czapka, gdy któryś z nich zaglądał pod wagon.

Wagonów przede mną było pięć. Już tylko trzy... Znowu zajrzeli schylając się nisko. Wprowadziłem nabój w lufę i odbezpieczyłem pistolet. Pierwszy zginie ten, który zajrzy. Czy będę miał czas zabrać tych innych ze sobą do piekła? Ręka z pistoletem drżała mi lekko. Opanuj się, Rafał! Zaglądają pod wagon bezpośrednio przed moim. Idą... Przeszli. Niedbalstwo w służbie ocaliło mi życie. Im też.

Pociąg pędzi znowu. Tym razem nerwy mi wysiadły. Ręce drżą. Dopiero po długiej chwili spostrzegłem, że mam szczęki zaciśnięte do bólu. Królestwo za papierosa!

W chwilach dramatycznych najgorszym wrogiem jest własna wyobraźnia. Człowiek torturuje siebie samego wymyślając niebezpieczeństwa. Teraz zaczynam się bać o to, jak wysiadę na dworcu w Berlinie. W jakim Berlinie? We Wschodnim, sowieckim, czy w Zachodnim? Przestań się dręczyć, idioto! Przecież już dawno mogłeś być zabity. A żyjesz.

Znów długie godziny. Ile — nie wiem. Ale już widać, że zbliżamy się do jakiegoś miasta. Gęstnieją domy. Nie widać pól. Przemysł. Wzdłuż toru, równo z pociągiem, jedzie autobus z młodzieżą. Machają rękami w kierunku wagonów. Jakże im zazdrościłem!

Autobus został w tyle. Tory mnożą się na lewo i prawo. Znów hamulce. Stoimy przy peronie. Tupot nóg. Bagaże. Wsiadają ludzie. Zdecydowałem się. Wsunąłem się pod wagon. Rozejrzawszy się wokół wylazłem na międzytor. Tymczasem pasażerowie opuścili pociąg. Byli nieliczni. Musiałem się spieszyć. Szybko wsiadłem do wagonu i wyszedłem z drugiej strony. Na zegarze dwunasta. Byłem w Berlinie. W Berlinie Wschodnim. W dali, na innym peronie, biwakowali Sowietci.

Peron opustoszał. Źle. Liczyłem, że wyjdę z berlińskiego dworca tak, jak wszedłem w Warszawie: w tłumie. Tu tłumy nie było, a kontrola biletów odbywała się przy wyjściu z każdego peronu. Mój już był niemal pusty, tylko gdzieś w głębi kilku ostatnich pasażerów podawało bilet do kontroli. Sytuacja niebezpieczna: musiałem przyciągać wzrok jak jedyny włos na łysej głowie. Schować się zanim mnie ktoś zauważy! Wpadłem do ubikacji — niewielkiej budki na peronie: umywalka i dwie kabiny. Długo piłem wodę o smaku chloru i rdzy. Nad umywalką lustro. W lustrze moja twarz.

Potwornie brudna: sadza i kurz, a na czole brunatny zaciek skrzepłej krwi: musiałem się skaleczyć nawet tego nie czując. Brudny kołnierzyk białej koszuli, urwany guzik od marynarki... Nie przeszedłbym przez miasto zalane słońcem niedzielnego poranka!

Umyłem się szybko, na ile się dało to zrobić zimną wodą bez mydła. Wyrwałem guzik ze spodni i „przyszyłem go do marynarki znalezionym w kącie drucikiem. Otrzeptałem się z kurzu. Lustro skwitowało moje wysiłki zyczliwszym obrazem. Wyjrzałem na zewnątrz. Peron opustoszał już zupełnie, a kontroler przeciągnął w poprzek wyjścia łańcuch z napisem Gesperrt i właśnie zniknął w czeluści wiodących w dół schodów. „Co robić?” — zadawałem sobie „leninowskie” pytanie.

Postanowiłem czekać do wieczora w gościnnej ubikacji, a później, już pod osłoną ciemności, opuścić na pół zrujnowany wojną dworzec. W postanowieniu tym nie wytrwałem długo. Zegar na dworcu wskazywał dopiero południe. Południe czerwcowego, długiego dnia. Byłem głodny i zdenerwowany. Gdy jakiś podmiejski pociąg zasłonił widok na mój peron, puściłem się biegiem ku wyjściu. Przeskoczyłem łańcuch i zbiegłem po schodach. Po chwili byłem na ulicy, gdzie przewijał się tłum niedzielnych spacerowiczów.

(...)

Kto widział przemarsz Armii Czerwonej pod koniec drugiej wojny światowej, ten nigdy nie zapomni sowieckiego wandalizmu. Czego Sowietarz nie mógł ukraść, to niszczył. Sowietcy żołnierze wyrzucali przez okna radia i gramofony, bagnetami cięli portrety, wrywali struny z fortepianów, kolbą rozbijali umywalki i muszle klozetowe, strzelali do lusterek i kandelabrow, niszczyli biblioteki, tłukli meble i rwali na strzępy kotary. Każdy dom przez nich zamieszkały, choćby przez kilka dni — wymagał gruntownego remontu. Nie mówiąc już o brudzie i smrodzie jaki po sobie zostawiali. Wiadomo: jak się potłukło klozetowe muszle... Dlaczego tak strasznie niszczyli? Czyżby pchała ich do tego zazdrość, że ktoś mógł żyć w warunkach, jakie oni, obywatele „przodującego kraju” widywali tylko w kinie? Czy może winna była propaganda wmawiająca im bezustannie, że poza Sowietami panuje straszliwy wyzysk i wobec tego każde przyzwoite mieszkanie jawiło się jako siedlisko wyzysku? A może jest to naturą sowieckiego człowieka napędzonego wódką, jak silnik samochodu napędzany jest benzyną? Nie wiem. Ale barbarzyństwo sowieckie pamiętam...

Murzyni wandalami nie są! Murzyn, ani ten „dziki”, z dżungli, ani ten „cywilizowany” z miasta — niczego świadomie nie niszczy. Na terenach odbitych rebelii znajdowałem domy, wille i warsztaty. Niejedna willa była w opłakanym stanie, lecz nie było to spowodowane świadomym wandalizmem. Murzyńska rodzina zajmąwszy pobelgijską willę nie umiała po prostu korzystać z urządzeń i wygod. Zresztą najczęściej brak było elektryczności i gazu. „Rewolucjoniści” nie umieli włączyć elektrowni i generatorów... Więc w willi rozpalano ognisko pośrodku salonu na bezcennym nieraz parkiecie. Dym gryzł w oczy? Robiono dziurę w suficie i dachu. Później deszcze robiły swoje...

Sam widziałem okopcone ściany, spaloną podłogę, zacieki... Ale ku mojemu zdumieniu nieprzydatny do niczego, z braku prądu, sprzęt radiowy stał na swoim miejscu. Nawet płyty nie były potłuczone. Wspaniała zastawa z cienkiej porcelany, cała. Opuszczając to miejsce „dzicy” Murzyni niczego nie zniszczyli świadomie, niczego nie rozwalili.

Uważajmy więc, gdy mówimy o narodach cywilizowanych.

(...)

Cholerny Georges. Komiliton mój z Konga i bratnia dusza. Kompan walk szlachejnych w Kongo i knajpianych awantur w Bejrucie, w Stambule, w Salisbury i w Kapsztadzie. Odważny, solidny, wesoły i bardzo inteligentny. Brak wykształcenia zastąpił ogromnym odczytaniem i ciekawością. Pamiętam, jak Georges w 1968 roku, w gęsto obsadzonej czerwoną proletariacką klientelą knajpie w skomunizowanej podparyskiej miejscowości Ivry, zawołał do kelnera:

— Dwie coca-cole! — I podnosząc głos, by go wszyscy słyszeli dorzucił: — Normalnie tego świństwa nie piję, ale teraz zamawiam, by wesprzeć amerykański wysiłek w Wietnamie!

W knajpie zaległa cisza. „Czerwoni proletariusze” zamarli ze zgrozy, a później ruszyli od stolików Georges rozpiął marynarkę, jakby szykując się do bójki. Proletów wstrzymał widok tkwiącego za pasem Georges'a pistoletu. Z bronią nie rozstawał się nigdy. Płacił grzywny, stał przed sądem i na drugi dzień znów miał pistolet za pasem.

— Niebezpieczne czasy! — tłumaczył.

Ta jego przezorność ocaliła mnie kiedyś w Stambule. Jechaliśmy z Jemenu do Europy na urlop. Georges, René i ja. Pętałem się wzdłuż bulwaru. Georges i René siedzieli przy kieliszku na tarasie pobliskiej knajpy. Nad brzegiem Bosforu banda niby-hippisów. Brudni, długowłosi, w łachmanach. Grają na gitarach i żebrzą. Podchodzi do mnie dziewczyna. Również brudna i w łachmanach. Długie, jasne włosy skołtunione i tłuste.

— Give me some money, please.

Tamci grają na gitarach i obserwują nas spod oka. Dziewczyna ma oczy podkrążone, smutne, lecz uśmiecha się zalotnie.

— Masz parę dolarów? — pyta. — Tu za murem jest trawnik...

Dałem jej kilka dolarów. Spojrzenia „hippisów” stały się mniej natarczywe.

— Co ty tu robisz? — zapytałem.

Odpowiedziała mi, że wracają z Katmandu. Że żebrzą po drodze, by mieć na podróż, na utrzymanie. Żebrzą? Wiedziałem, że te bandy prostytutki swe dziewczyny i kradną, i że to stanowi większość ich dochodów.

— Chodź ze mną — powiedziałem. Pieniądzy dla nich ci nie dam, ale za bilet do Europy zapłacę.

Dziewczyna, jak się później dowiedziałem — siedemnastoletnia Holenderka, spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

— Dobrze — powiedziała po chwili zastanowienia.

Grupa „hippisów” czegoś się domyśliła. Przerwali brzdąkanie w struny i ruszyli w naszą stronę. Odcinali mi drogę od bulwaru, od ruchu ulicznego. Szli zwartą grupą. Tylko jeden miał w rękach

gitarę. Inni mieli noże... Dziewczyna zbladła i zaczęła płakać. Ja poczułem nagły odpływ odwagi.

— Hi, boys — krzyknął ktoś za plecami „hippisów”.

Odwrócili się. Za nimi stał ogromny René. A obok Georges z pistoletem w ręku uśmiechał się życzliwie. Noże znikły w kieszeniach. Hippisi spokojnie i spuściwszy głowy ulotnili się chyłkiem. I tylko później, z bezpiecznej już odległości obrzucili dziewczynę stekiem potwornych wyzwisk. Złożyliśmy się we trzech na zakup kiecek dla zbląkanej owieczki, na jej nocleg w hotelu i bilet lotniczy. Córka lekarza z Amsterdamu. Gdy uciekła z domu, miała zaledwie piętnaście lat. Dwa lata poza domem dostarczyły jej materiału do obszernej — gdyby ją chciała napisać — powieści i to powieści, której byle komu nie można dać w ręce. Co ona przeżyła! Mały wycinek zasłyszany z jej ust wystarczył by, nas, stare wygi, ogarnęła groza i litość. Wynędziała. Na ramionach ślady ukłuć. W oczach rozpacz.

Znacznie później otrzymałem od jej ojca list. Wylizła się z narkomanii. Podjęła studia. Nie zobaczyłem jej nigdy. Wątpię, by sprawiło jej przyjemność spotkanie z człowiekiem, który poznał ją wówczas, gdy była sprzedawana w Stambule...

Dawid Hallmann

Polak Łotysz dwa bratanki?

Podczas jednej z wizyt w naszym kraju prezydent Łotwy został powitany w polskiej instytucji w języku... litewskim. To tylko jaskrawy przykład powszechnej niewiedzy na temat państwa, z którym graniczyliśmy przed 1939 rokiem. Nasze wyobrażenie o Łotwie jest bardzo mgliste. Jeśli nie mylimy jej z Litwą, to nawet stereotypów za bardzo nie ma. 5 lat temu, prowadząc warsztaty w szkołach średnich przygotowałem ankietę, w której pytałem uczniów o ich stosunek do tej bałtyckiej republiki. Zwykle odnosili się do niej w sposób neutralny (tak jak do Estonii czy Uzbekistanu) lub lekko pozytywny. Łotwa kojarzyła się wtedy młodym Polakom z krajem postsowieckim, graniczącym z Litwą i Estonią, ze stolicą w Rydze lub po prostu z niczym (zero skojarzeń). Czy coś się zmieniło od tamtego czasu? Nie sądzę. I jest to moim zdaniem rzecz wstydliwa – fakt, że więcej wiemy o tym, co się dzieje za oceanem, aniżeli w kraju, który przez wieki był częścią Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Warto jednak przyjrzeć się, jak postrzegają Polskę Łotysze. Czy wiedzą równie mało? Czy ich wyobrażenia odbiegają od rzeczywistości?

Mieszkając na Łotwie w latach 2006-2007, korzystając z analogicznej ankiety, pytałem młodych Łotyszy między innymi o ich stosunek do różnych krajów europejskich, o to czy byli w Polsce i z czym im się Polska kojarzy. Okazuje się, że poziom sympatii Łotyszy do Polski jest wyższy, aniżeli Polaków do Łotwy - stosunkowo mało ocen neutralnych, za to sporo pozytywnych. Co ciekawe pojawiły się też oceny negatywne, z czego jedna została szczegółowo uzasadniona. Otóż dziesiętnastoletni Jānis, student z Rygi, wyraził opinię, że Polska zalewa swoimi produktami rynek łotewski co prowadzi do upadku ich gospodarki. Do tego Polska jawi mu się jako kraj, w którym jest wysoki poziom przestępczości, złodzieje kradną samochody i w niewyjaśnionych okolicznościach znikają kierowcy ciężarówek. Dodał jednak, że mimo to ma dobre wspomnienia z Krakowa.

Fakt, że Jānis odwiedził Kraków jest znamieny. Okazuje się bowiem, że większość zapytanych przeze mnie Łotyszy była w Polsce. Z pewnością nie jest to reprezentatywna grupa - ludzie młodzi są bowiem bardziej mobilni, aniżeli starsi. Interesujące jest jednak zestawienie wyników łotewskich

ankiet z polskimi. Otóż żaden z zapytanych przeze mnie Polaków nie był na Łotwie. Powód zdaje się być prosty. Polska to kraj tranzytowy - jadąc z północy samochodem do jakiegokolwiek państwa Europy Zachodniej nie sposób nie przekroczyć naszej granicy. Z kolei Łotwa jest niejako na uboczu, i nawet jeśli Polacy jeżdżą na północ, to raczej celem ich jest Wilno, aniżeli Ryga. Nasuwa się jednak pytanie: czy w tej sytuacji Łotysze wiedzą więcej o Polsce niż Polacy o Łotwie? Opierając się na wspomnianych ankietach nie można wyciągnąć takiego wniosku. Większość zapytanych przeze mnie osób miała z Polską bardzo ogólne skojarzenia: duży kraj i mili ludzie. Kilka osób wskazało na korzenie rodzinne. Poza tym nic więcej.

Moja ankieta skierowana była głównie do ludzi młodych. Z pewnością inne byłyby odpowiedzi w przypadku ludzi starszych, zwłaszcza tych, którzy pamiętają Związek Radziecki. Wielu dorosłych Łotyszy swoje wyobrażenia o Polsce kształtowało właśnie w tamtym okresie, czerpiąc je z polskiej kultury – zwłaszcza z kinematografii. Stąd też w 2006 roku w łotewskiej telewizji komentowano wycofanie z jesiennej ramówki TVP filmu „Czterej pancerni i pies”. Będąc na pielgrzymce w Aglonie („łotewska Częstochowa”) spotkałem Łotysza, który świetnie mówił po polsku – języka nauczył się w kościele i dzięki polskiej telewizji (Polonia). We wschodniej Łotwie, zwanej Łatgalią lub Inflantami Polskimi, wciąż widać i słyhać ślady polskości. I tak na przykład w dialekcie łatgalskim, występuje słowo „ksendzs”, które oznacza księdza rzymsko-katolickiego. Nie ma w tym jednak nic dziwnego, bowiem przez długi czas to właśnie Polacy byli protektorami katolicyzmu na Łotwie. Mieszkając w tym kraju spotkałem wielu księży mówiących po polsku. Świetnie naszym językiem włada biskup Lipawy (Liepāja) Vilhelms Lapelis, nie wspominając o arcybiskupie Rygi Zbigniewie Stankiewiczu, który jest Polakiem urodzonym w rejonie gulbeńskim - byłym wiceprzewodniczącym Związku Polaków na Łotwie.

Według spisu powszechnego z roku 2011 na Łotwie żyje 44783 Polaków, co stanowi 2,2% populacji tego kraju. Od 1990 roku działa Związek Polaków na Łotwie. Istnieje 6 polskich szkół - m.in. szkoła średnia im. Ity Kozakiewicz w Rydze i Państwowe Gimnazjum Polskie im. Józefa Piłsudskiego w Dyneburgu. Uczęszcza do nich ponad tysiąc uczniów. Niestety polskojęzyczne placówki edukacyjne borykają się z wieloma problemami, włącznie z brakiem uczniów i kadry. Cóż, koszty życia są wysokie a płaca mało atrakcyjna dla nauczycieli z Polski. Do tego dochodzą niełatwe warunki pracy, ze względu na wysoki poziom zrusyfikowania. W 2010 roku prowadziłem zajęcia w jednej z polskich szkół na Łotwie. Dotyczyły one zbrodni katyńskiej. Niestety uczniowie nie zrobili na mnie dobrego wrażenia. W jednej z klas z niesamowitą zawziętością bronili sowieckiej wersji wydarzeń – Niemcy przyszli, wymordowali polskich oficerów, potem odkopali i obarczyli winą Rosjan... a notatka Berii z 5 marca 1940 roku została sfałszowana, Jelcyn, który ją ujawnił, został przekupiony (sic!). Oczywiście argumenty przedstawiali w języku rosyjskim. Zresztą język ten dominował również na korytarzach. Przyczyny takiej sytuacji to wspomniane już – brak uczniów i brak kadry. Na Łotwie obowiązuje zasada, że „pieniądz idzie za uczniem”. Zatem każde dziecko jest na wagę złota (lub raczej łata). Nie można sobie pozwolić na selekcję. Z kolei brak nauczycieli, zwłaszcza nauczania początkowego, prowadzi do słabej znajomości języka polskiego. Dyrektorzy szkół apelują do polskich władz o wsparcie, niestety ich apele pozostają bez większego odzewu.

Łotewscy Polacy cieszą się sympatią Łotyszy. Być może jest wynik wyraźnego opowiedzenia się w 1990 roku za niepodległością Łotwy. Pierwszą przewodniczącą Związku Polaków została Ita Kozakiewicz - działaczka Łotewskiego Frontu Ludowego. Została ona nawet wybrana kobietą roku 1990. Nie można nie wspomnieć również o polskiej pomocy militarnej w roku 1920, kiedy to wojska gen. Śmigłego-Rydza, wchodzące w skład Frontu Litewsko-Białoruskiego sforsowały Dźwinę i wyparły bolszewików z Dyneburga, po czym oddały miasto Łotyszom. Na pamiątkę tych wydarzeń i poległych polskich żołnierzy postawiono w Dyneburgu ogromny betonowy krzyż, natomiast w Muzeum Wojny w Rydze jedna z gablot poświęcona jest właśnie wyzwoleniu Łatgalii, z podkreśleniem zasług Polaków.

Polskę i Łotwę łączy wspólna historia. Księstwo Kurlandii przez trzy wieki było lennikiem Rzeczypospolitej. Paradoksalnie zostało zagarnięte później niż Lwów, bo dopiero po trzecim rozbiorze. W XIX wieku Polacy byli siłą napędową łotewskiego katolicyzmu. W okresie międzywojennym to z Łotwą mieliśmy najlepsze relacje. Dziś nie mamy już wspólnej granicy, ale polskość wciąż jest obecna w kraju nad Dźwiną (choć jest jej coraz mniej). Z pewnością jest to czynnik sprzyjający poznaniu. Nie można jednak wyciągać na tej podstawie zbyt pochopnych wniosków. Wpływy polskiej kultury w porównaniu z rosyjską są znikome. Jest też wiele nieprawdziwych wyobrażeń. Wiosną 2007 roku brałem udział w nagraniu programu o Polsce w Łotewskiej Telewizji. Jako tradycyjne polskie danie przygotowano... tort kanapkowy. Skąd im się to wzięło, nikt nie potrafił mi wytłumaczyć. Cóż, wiele jeszcze zostało do zrobienia w kwestii wzajemnego poznania naszych narodów.

Zbigniew Herbert Ręce moich przodków

Bez ustanku pracują we mnie ręce moich przodków
wąskie silne kościste
ręce nawykłe do prowadzenia wierzchowca
władania mieczem szablą szpadą

O jaki wzniosły jest spokój śmiertelnego ciosu

Co chcą powiedzieć ręce moich przodków
oliwkowe ręce z zaświatów
pewnie bym się nie poddał
więc pracują we mnie jak w cieście
z którego ma być ciemny chleb

A co już przekracza moją wyobraźnię
wsadzają mnie szorstko na siodło
a stopy w strzemiona

Bartłomiej Kachniarz Z obcego rodu

Ze zdjęcia patrzy na mnie brodaty starzec o zmęczonej twarzy. Oprócz niego na rodzinnej fotografii jest jego syn, synowa i dwoje wnucząt. Sądząc po porządnym ubraniu, dewizce od zegarka, po porcelanowej lalce w ręce dziewczynki, są nieźle sytuowani. Za plecami młodszego mężczyzny widać fragment białej rzeźby ogrodowej. Czy to figura Maryi, potwierdzająca katolickie wyznanie sportretowanych? Uwagę obserwatora przyciąga drobny szczegół: w węzeł krawata seniora rodu wbita jest ozdobna szpila z orłem białym. Niby nic dziwnego – normalny sposób wyrażenia patriotycznych uczuć. Ale dlaczego uczucia te wyraża Niemiec, który szukając lepszego życia, przeniósł się z Prus do Lwowa? Człowiek ze zdjęcia nazywa się Wilhelm Wunsch i jest pradziadkiem mojego dziadka. Jest człowiekiem, który urodził się jako Niemiec, a umarł jako Polak – mimo że państwo polskie nie istniało, a on sam był poddanym austriackiego cesarza.

Dziewiętnastowieczny Lwów miał tak magiczny wpływ nie tylko na mojego antenata. Przypadki wybierania przez niemieckojęzycznych Austriaków polskiej tożsamości narodowej nie były odosobnione – nawet jeśli przysyłani byli oni specjalnie po to, by zarządzać zdobytą prowincją w imieniu wiedeńskiego rządu. Stałym problemem urzędników galicyjskich było to, że ich synowie wyrastali na szczerych polskich patriotów.

Szerokim echem odbiło się w Galicji powstanie listopadowe.

Nagle Lwów zmienił się nie do poznania. Cały gościniec żółkiewski zaroił się od śpieszących do Zamościa ochotników. Urzędnicy niemieckiego pochodzenia z przerażeniem widzieli, jak ich własni synowie wybierają się do polskich szeregów. Konsyljarz Reitzenheim wyśmiewał się z drugiego, którego syn podążył do Królestwa, że nie umie wychowywać dzieci w duchu rządowym – aż tu w najbliższym czasie własny syn jego jedynak prosto z balu wymknął się do powstania. Nawet żołnierze w koszarach śpiewali nasze narodowe pieśni.

Najbardziej radykalny przykład takiego spolszczenia oposuje niezmordowany kronikarz Lwowa, Jerzy Janicki:

Ba, toć niejaki Pohl przybył tu z Wiednia w uniformie austriackiego żandarma z surowym befelem, by lwowiaków na leMBERGERÓW przerobić, do szcZĘTU zGERMANIZOWAĆ, a cała misja na tym się skończyła, że rodzony syn wyrósł mu na Wincentego Pola, który nie tylko >h< z nazwiska zgubił, ale "Pieśnią o ziemi naszej" zasłynął.

Razem z nim polską tożsamość przyjmowała cała plejada lwowskich (i ogólnie galicyjskich) Niemców i Czechów: Grottgerowie, Zollowie, Balzerowie, Friedleinowie, Dietlowie, Beiersdorfowie, Anczycowie, Lamowie, Estreicherowie, Retingerowie, Schmittowie, Smolkowie, Matejkowie. Asymilację przyjezdnych ułatwiała zbieżność religii i – zwłaszcza w drugiej połowie XIX wieku – spokój społeczny, brak ostrych konfliktów pomiędzy rządem i społeczeństwem. Czynnikiem nie do przecenienia był też fakt, że tylko przyjęcie polskiej kultury pozwalało młodemu człowiekowi we Lwowie wyrwać się ze środowiska rodziców, z nielicznej niemieckojęzycznej kolonii.

Warto zostać chwilę przy rodzinie Estreicherów, która w kulturze polskiej zostawiła trwałe ślady. Ich nazwisko brzmi niemiecko, mimo że znany nam wariant już jest wersją spolonizowaną,

pochodzącą z końca XVIII wieku. Pierwotnie brzmiało ono Oesterreicher, co znaczy - Austriak. Rodzina wywodzi się z miasta Iglawa na Morawach i jest najprawdopodobniej austriackiego pochodzenia. Protoplasta polskiej gałęzi rodu, Dominik Oesterreicher, przybył do Warszawy w roku 1778 (a więc już po pierwszym rozbiore), na zaproszenie Hugona Kołłątaja, który wprowadził go na dwór króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Cztery lata później, w wieku 32 lat, został profesorem rysunku na Uniwersytecie Jagiellońskim, reformowanym właśnie z polecenia Komisji Edukacji Narodowej. W Krakowie ożenił się z Rozalią z Prakeschów, krajanką z Iglawy. Odtąd na stałe związał się z Polską - choć wkrótce Rzeczpospolita przestała istnieć jako państwo. Jego syn, Alojzy, urodzony już w Krakowie, pozostał na uczelni jako profesor entomologii i przez jakiś czas rektor. Jak bardzo płynna była w tym czasie tożsamość narodowa, widać na przykładzie jego żony, Antoniny Rozbierskiej, pochodzącej z litewskiej szlachty, ale do tego stopnia zniemczonej, że dopiero po ślubie zaczęła się uczyć języka polskiego.

Najmłodszym z siedmiorga dzieci Alojzego i Antoniny był Karol Estreicher - twórca polskiej bibliografii, której od 1870 do 1908 roku opublikował 22 tomy. Dalsze wydawał już jego syn, Stanisław. Warto może wspomnieć, że pionierską pracę w tym zakresie, *Bibliograficznych ksiąg dwoje*, wydał w Wilnie w latach 1823-1826 Joachim Lelewel, prywatnie - syn Karola Maurycego Loehloeffela z Prus Wschodnich, który polskie szlachectwo otrzymał w roku 1775, a więc już po pierwszym rozbiore.

Pierwszym wydawnictwem, które zainteresowało się Estreicherowską bibliografią, była warszawska oficyna Samuela Orgelbranda, którego trudno nazwać rdzennym Polakiem. Orgelbrand, założyciel wydawnictwa, które przez jego synów zostało pod koniec XIX wieku przekształcone w „Towarzystwo Akcyjne Odlewni Czionek i Drukarni S. Orgelbranda Synów”, sam kończył Rządową Szkołę Rabinów. Opublikował około 600 tytułów, w tym 28-tomową Encyklopedię Powszechną, monumentalne dzieło, nad którym naukowcy i pisarze pracowali 10 lat, *Starożytną Polskę* M. Balińskiego i T. Lipińskiego (4 tomy), *Pomnik do historii obyczajów w Polsce* I. Kraszewskiego, *Piśmiennictwo Polski* W.A. Maciejowskiego (3 tomy) czy 6 tomów *Biblioteki starożytnych pisarzy polskich* K.W. Wóycickiego. W ofercie miał około 100 tytułów hebrajskich, wśród których warto wymienić 20-tomowy *Talmud Babiloński*, wydany w 5 tys. egzemplarzy. Z wydania bibliografii w Warszawie nic jednak nie wyszło. Plany pokrzyżowało powstanie styczniowe. W roku 1868 umarł Samuel Orgelbrand, a Estreicher powrócił do Krakowa.

Samuel Orgelbrand pochowany został na warszawskim kirkucie, lecz jego o 16 lat młodszy brat Maurycy, także absolwent Rządowej Szkoły Rabinów, ochrzcił się jako dorosły człowiek i przyjął katolicyzm. Chyba po to, by nie wchodzić bratu w drogę, przeniósł się do Wilna i tam prowadził księgarnię z wydawnictwem. Do Warszawy wrócił po powstaniu styczniowym. W roku 1873 zorganizował Spółkę Wydawniczą Księgarzy Warszawskich, która skupiła takie postaci, jak Gebethner i Wolff, Michał Glucksberg, Gustaw Sennewald, Edward Wende.

Boże, coś Polskę

Stary dowcip o orkiestrze na Śląsku: dyrygent pyta po niemiecku, czy poszczególne instrumenty są gotowe. Po otrzymaniu potwierdzenia mówi: „Also, beginnen wir! Eins, zwei, drei!” - i w tym momencie płyną słowa: „Boże, coś Polskę...”. Prawda, jak zwykle, okazuje się bardziej nieprawdopodobna od zmyślenia. Otóż w Łodzi, w sierpniu roku 1861, na fali patriotycznego uniesienia po warszawskich manifestacjach, krwawo stłumionych przez rosyjskie wojsko, *Boże, coś Polskę* nie tylko po niemiecku przygotowywano, lecz również śpiewano!

Łódź była bowiem w tym okresie miastem przeważnie niemieckojęzycznym. Mniej więcej od lat 30. XIX wieku napływali do Łodzi liczni osadnicy z Saksonii, Prus, Austrii, Czech, Śląska i

Wielkopolski. Wskutek tego miasto stało się w przeważającej części niemieckojęzyczne. Wzięło się to z dynamicznego rozwoju łódzkiego przemysłu, który wciąż jednak był zacofany w stosunku do stanu rozwoju w krajach niemieckich. Dopiero rozwój fabryk w latach 70., wymagający znacznej liczby rąk do pracy, spowodował napływ ludności z dalszych i bliższych wsi i miasteczek - co odwróciło proporcje między Niemcami a Polakami, na korzyść tych ostatnich.

Ciekawym epizodem polonizacji osadników z innych krajów jest sprawa bambrów - niemieckich osadników z Poznania i okolic. W trakcie potopu szwedzkiego (1655-1660) liczba ludności Rzeczypospolitej spadła o 1/3. Pół wieku później zniszczenia o podobnej skali przyniosła wielka wojna północna (1700-1721), także toczona w znacznej części na terytorium Rzeczypospolitej, choć raczej bez aktywnego jej udziału. Po zakończeniu wojny pojawiła się realna potrzeba ponownego zasiedlenia znacznych połaci kraju. Władze Poznania (którego liczba mieszkańców zmalała z 14 tys. w roku 1696 do 4 tys. w 1710) zaprosiły więc do osiedlania w okolicznych wsiach chłopów ze względnie przeludnionych okolic Bambergu w Bawarii. Jedynym warunkiem było wyznanie katolickie. W połowie XVIII wieku znaczną część ludności Poznania stanowili osadnicy, od miejsca pochodzenia nazywani bambrami. Niektóre podpoznańskie wsie stały się niemieckie w 100 proc.

Bambrzy spolonizowali się dość szybko, w ciągu dwóch, trzech pokoleń, i to pomimo faktu, że kiedy proces ten się dokonywał - Wielkopolska była pod pruskim zaborem. Czynnikiem przyspieszającym integrację bambrów było ich katolickie wyznanie. Mimo że przydzielono im osobny kościół, w którym kazania głoszone po niemiecku, bambrzy woleli chodzić do kościołów parafialnych, polskich. Pod koniec wieku XIX praktycznie wszyscy bambrzy w oficjalnych spisach przyznawali się do narodowości polskiej. Kiedy kanclerz Otto von Bismarck rozpoczął wojnę kulturową i zaczął wywierać nacisk germanizacyjny, rodziny bamberskie stanęły w obronie szkół z ojczystym językiem wykładowym - polskim.

Tabliczka znamionowa z młyna

Niewielka prostokątna tabliczka z oksydowanego mosiądzu. Napisy złożone staroświeckimi czcionkami - i chyba sześcioma różnymi krojami pisma na niewielkiej przecież powierzchni. „Zakłady młynarskie braci A. Dagnan w Tarnowie”. Dagnan - cóż to za nazwisko?

Listopad 1812 - resztki Wielkiej Armii Napoleona przekraczają Berezynę, wymykając się niemal pewnej śmierci z rąk wojsk jednookiego feldmarszałka Kutuzowa. W jednym z oddziałów jest Gabriel d'Agnan, przodek braci Antoniego i Augustyna Dagnanów, francuskim żołnierz - raczej nie przesadnie wysokiej szarży, bo ma dopiero 21 lat. Ma dość wojaczki, bo nie dociera z wodzem do Francji. Zostaje w Tarnowie, na dworze księcia Eustachego Sanguszki. Książę też brał udział w wyprawie na Moskwę, tyle że jako generał, członek sztabu Napoleona. W Tarnowie d'Agnan poznaje swoją przyszłą żonę, Mariannę Faik, Austriaczkę. Przybrana ojczyzna musiała przypaść obojgu do gustu, bo synowi, który urodził się w roku 1831 dali na chrzcie najbardziej typowe polskie imię - Stanisław. Może na cześć syna księcia, Romana Stanisława Sanguszki? W każdym razie już syn Gabriela ma przekręcone nazwisko - w papierach wpisali mu D'Agna. Jego syn, też Stanisław nazywa się już Dagnan, i ta właśnie forma nazwiska się utrwała.

Stanisław został przedsiębiorcą młynarskim, jego synowie mają już sporą firmę w Tarnowie. Budują i serwisują młyny. Część rodziny zajmuje się cięciem drewna w tartaku. Tarnowscy sąsiedzi

i konkurenci Dagnanów to żydowska rodzina Szancerów, z której pochodzi wielki Jan Marcin Szancer.

Dagnanowie wrosli w Polskę, podobnie jak inni Francuzi, z różnych powodów przybyli. Rodzina Longchamps de Berier przyjechała do Polski w latach 40. XVIII wieku - pierwszy z galicyjskich Longchampsów, Franciszek, zakładał we Lwowie masońską „Lożę trzech bogiń”. Od jego nazwiska pochodzi nazwa folwarku Lonszanówka, później włączonego do miasta. Jego potomkiem był wybitny przedwojenny prawnik, Roman Longchamps de Berier, rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza, zamordowany przez Niemców. Dziś jego imię nosi aula Uniwersytetu Wrocławskiego, a kolejny Franciszek - potomek hugenotów i masonów - został księdzem katolickim, obroniwszy uprzednio doktorat z prawa, co w tej rodzinie jest chyba obowiązkiem.

Podobna była genealogia wybitnego językoznawcy, Jana Niecisława Baudouina de Courtenay. Przodek jego przybył z Francji w czasach saskich i był pułkownikiem gwardii cudzoziemskiej Augusta II Mocnego. Jego ojciec był geometrą, a on sam został jednym z najpoważniejszych badaczy języka polskiego swojej epoki. Wykładał w Kazaniu, Dorpacie, Krakowie i Petersburgu, a w roku 1922 otarł się nawet o prezydenturę, kiedy to blok mniejszości zgłosił go z zaskoczenia. Uzyskał 105 głosów.

Francuzem, który przybył do Polski już po rozbiorach, był Józef Fraget. W roku 1824, na fali zainteresowania Polską wywołanej przez księcia ministra Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, wyolbrzymionej odwieczną legendą „nieograniczonych rynków wschodnich”, przyjechał do Warszawy jako człowiek 27-letni, z opanowanym już fachem złotnika. Biznesplan miał prosty: każdy chciałby mieć na stole rodowe srebra, a mało kogo na to stać. Oczywiście targetem było bogacące się mieszczaństwo. Fraget dodał do tego nową technologię, jaką było pokrywanie mosiądzu cienką warstwą srebra. Pomysł chwycił w porewolucyjnej Francji, dlaczego nie miałyby się udać i w Polsce? No i się udało.

Komiwojażerzy dobijają się o nakrycia Frageta. Fraget jest bezkonkurencyjny. Fraget jest modny. Fraget jest gustowny, jest na ustach wszystkich. Wyroby jego do zrudzenia przypominają srebro. A co srebro, to srebro. To nie zwykły, goły, żółty jak samowar mosiądz. Nakrycia od Frageta wyglądają na stole jak prawdziwe stare srebra na stole magnackim

- pisze Andrzej Wróblewski we *Frażetowych łyżeczkach*, książce, która wobec XIX-wiecznego warszawskiego kapitalizmu jest dziwnie nostalgiczna jak na rok wydania – 1955.

Rodzina Frageta spolonizowała się zresztą stosunkowo szybko - już w drugim pokoleniu. Bardziej złożone były losy innej francuskiej rodziny, która związała się z Polską - Norblinów. Jan Piotr Norblin, artysta z Misy-Faut-Yonne, przybył do Polski na zaproszenie księżnej Izabeli Czartoryskiej w roku 1774 - i spędził tu 30 lat, zdobywając sławę jako malarz i grafik. Już po rozbiorach przeniósł się z powrotem do starej ojczyzny i zmarł tam w roku 1830, w wieku 84 lat. Jego syn, Aleksander, osiadł w Warszawie i założył warsztat brązowniczy. Syn jego, Wincenty, wybrał ten sam fach, ale nie pozostał w zakładzie ojca - początkowo założył własny, a później ożenił się z Henryką, wdową po Janie Cerisy, właścicielu sporej manufaktury złotniczej na Nowym Mieście - i przejął zarówno przedsiębiorstwo, jak i kalwińskie wyznanie żony.

Polscy Ormianie

Skąd wzięli się w Polsce Ormianie? Po tym jak Turcy seldżuccy w XI wieku podbili Armenię, jej mieszkańcy zaczęli masowo emigrować. We Lwowie spore skupisko Ormian istniało już w wieku XII. Po przyłączeniu Rusi Halickiej Kazimierz Wielki zatwierdził ormiańską odrębność religijną, samorządową i sądowniczą. Jedenaście lat później król nadał biskupowi ormiańskiemu we Lwowie prawo wykonywania jurysdykcji biskupiej. Następne gminy ormiańskie powstawały w kolejnych miastach na południowym wschodzie państwa: w Kamieńcu Podolskim, Łucku, Barze, Jazłowcu, Zamościu i innych. Właśnie Ormianie, pośredniczący w handlu pomiędzy Rzeczpospolitą a Turcją i Persją, wywarli duży wpływ na polską kulturę narodową, powodując, że strój polski czy polska szabla są prawie orientalne.

Ormianie przyjęli polski strój, język i zwyczaje, stopniowo tracąc swą odrębność. Od Polaków dzieliła ich właściwie tylko religia. Kościół ormiański stracił łączność z Rzymem w roku 451, na tle sporu o monofizytyzm, na który nałożył się podbój Armenii przez Persję, skutecznie uniemożliwiając wyjaśnienie nieporozumień. W roku 1691 doszło jednak do unii ormiańskiego Kościoła narodowego z Kościołem katolickim. Na mocy postanowień unii Ormianie zachowali odrębność liturgiczną, dzięki czemu wśród duchowieństwa przetrwała znajomość klasycznego języka ormiańskiego.

Wydaje się to zaskakujące, ale najwybitniejszy hierarcha ormiańskiego Kościoła katolickiego, abp Józef Teodorowicz, członek tej mniejszościowej grupy etnicznej, był jednocześnie gorącym polskim patriotą, a także aktywnym politykiem Narodowej Demokracji.

Arcybiskup, świetny mówca, znajdował czas na rzeczy nie należące do obowiązków związanych z zarządzaniem diecezją i troszczeniem się o ormiańską trzódkę. Już jako arcybiskup zasiadał w latach 1902-1914 w sejmie galicyjskim. Równocześnie, aż do końca I wojny światowej, był członkiem Izby Panów parlamentu austriackiego, gdzie ostro występował w obronie praw Polaków, podnosząc też problem niepodległości Polski.

Po odzyskaniu niepodległości został posłem na Sejm Ustawodawczy, 1919-1922, z ramienia Związku Ludowo-Narodowego (był wiceprzewodniczącym klubu poselskiego). To właśnie jego kazanie w warszawskiej katedrze św. Jana zainaugurowało obrady sejmu - arcybiskup przybył na nie wprost z obleganego przez Ukraińców Lwowa. Sam Ormianin i lwowiak, występował na arenie międzynarodowej, walcząc o objęcie granicami odrodzonej Polski Śląska, Wileńszczyzny i Gdańska.

W następnej kadencji, od roku 1922, był senatorem. Nie trwało to długo, bo z czynnej polityki abp Teodorowicz zrezygnował w roku 1923, na wyraźne zalecenie papieża Piusa XI, który życzył sobie, by duchowni nie pełnili państwowych urzędów i koncentrowali się raczej na duszpasterstwie.

Właśnie w 1923 roku abp Teodorowicz wrócił do innego wielkiego dzieła, jakim była gruntowna renowacja lwowskiej katedry ormiańskiej, rozpoczęta jeszcze przed wybuchem Wielkiej Wojny. Aktem niezwykłej odwagi było powierzenie starej średniowiecznej świątyni nie konserwatorom i restauratorom zabytków, ale wybitnym ówczesnym artystom. Jan Rosen został autorem fresków, Józef Mehoffer zaprojektował mozaiki i witraże, rozbudowę przeprowadzili architekci Witold Minkiewicz i Franciszek Mączyński. Ostateczny efekt przeszedł wszelkie wyobrażenia. Lwowska katedra ormiańska stała się arcydziełem znanym w całej Polsce i budzącym uznanie także za granicą. To właśnie katedra stała się pomnikiem dla wielkiego Polaka - wielkiego Ormianina.

Biskup Teodorowicz zmarł w roku 1938, a jego pogrzeb stał się manifestacją patriotyczną, w której wzięło udział tysiące lwowiaków. Trumnę złożono na cmentarzu Orłąt Lwowskich - tych samych, których wspierał podczas walki o Lwów. Ówczesny prezydent Lwowa Stanisław

Ostrowski powiedział nad grobem arcybiskupa:

Odszedł od nas na wieki jeden z największych mężów Polski współczesnej, postać naprawdę monumentalna, przed którą chyliły się czoła w kornym i pełnym przywiązania holdzie. Zmarły księżę Kościoła był wielką indywidualnością. Był godnym następcą postaci tej miary, co Oleśnicki, Skarga, Starowolski, Kajsiowicz, a za naszych czasów - Bilczewski.

Warszawa - polska sprawa

„Tygodnik Ilustrowany” opublikował w 1891 roku tekst *Warszawa w świetle pieniędzy. Milionerzy warszawscy*. W tekście tym podano spis warszawskich bogaczy, składający się z 66 nazwisk: Bloch, Berson, Borman, Brun, Daab, Epstein, Fajans, Fraget, Fukier, Gebethner, Gerlach, Glucksberg, Goldfeder, Goldstand, Granzow, Haberbusch, Halpert, Hantke, Herse, Hoesick, Klawe, Kronenberg, Konic, Laski, Levy, Lesser, Lewental, Lilpop, Machlejd, Martens, Michler, Natanson, Norblin, Pfeiffer, Popiel, Puls, Rau, Reichmann, Rosen, Rotwand, Schiele, Seydel, Spiess, Strasburger, Simmler, Szwede, Szlenkier, Temler, Ulrich, Wertheim, Wawelberg, Wedel, Werner.

Spośród wymienionych chyba tylko Popiel jest nazwiskiem polskim. Brzmienie pozostałych wskazuje przeważnie na pochodzenie żydowskie (np. Bloch, Kronenberg, Lewental, Rosen) lub niemieckie (Herse, Spiess, Lilpop, Schiele). Są tu także rodziny szwajcarskie (Simmler), szkockie (Machlejd), francuskie (Norblin, Fraget).

Dla warszawskiej burżuazji, szczególnie żydowskiej, niezwykle pociągająca okazała się polska kultura szlachecka. A. Herz tak pisał o asymilacji wyższych warstw kupiecko-przemysłowych:

Wzór życia szlacheckiego przemawiał do nowej plutokracji pochodzenia żydowskiego. [...] przyjęcie go oznaczało utożsamienie się i z tym, co społecznie „lepsze”, i z polskością. Nabywanie majątków ziemskich i przyswajanie sobie ziemiańskich form życia stało się tu rzeczą powszechną. [...] Koligacenie się bogatych Żydów z podupadłymi rodami ziemiańskimi było samo przez się ważnym czynnikiem przejmowania manier arystokratycznych. Teściowie musieli się wykazać, że są na poziomie swych utytułowanych zięciów. Bersonowie założyli stajnię wyścigową, inni zabawiali się polowaniami; wszyscy prowadzili życie wystawne, budowali pałace, ubiegali się o tytuły szlacheckie itp.

Przyjęcie polskiej kultury niejednokrotnie wiązało się ze zmianą religii.

Najznakomitszy działacz kapitalistyczny XIX w., Leopold Kronenberg, przyjął chrzest w 1845 r., na rok przed własnym ślubem. Córki powydawał za polskich arystokratów, zdobył także nobilitację uzyskując herb Struga. Także jego rywal w działalności gospodarczej, ponad 20 lat młodszy od Kronenberga Jan Bloch, przeszedł na katolicyzm, a od 1883 r. mógł poszczycić się tytułem szlacheckim herbu Ogończyk odmienny. Obaj wybudowali sobie w Warszawie pałace, utrzymywali kontakty towarzyskie i rodzinne z przedstawicielami warstwy arystokratycznej

- o asymilacji warszawskich bogaczy obcego pochodzenia szczegółowo pisze Maria Siennicka.

Najprostszym sposobem uzyskania gwarancji akceptacji w warszawskiej socjocie było wżenienie się.

Od lat siedemdziesiątych XIX wieku zanotować można wzrastającą liczbę związków małżeńskich córek przechrztów z synami chrześcijańskich rodzin arystokratycznych i ziemiańskich. Najczęściej to właśnie dziewczęta ze wzbogaconych rodzin pochodzenia żydowskiego wydawane były za polskich i obcych posiadaczy tytułów hrabiowskich i baranowskich oraz właścicieli ziemskich o polsko brzmiących nazwiskach. Dwie córki Leopolda Kronenberga zostały żonami arystokratów:

Maria Róża - hrabiego Zamoyskiego, a po owdowieniu – barona Taube, Róża Maria Karolina - hrabiego Orsetti. Trzy córki Jana Blocha poślubiły kolejno: Maria Katarzyna - Józefa Kościelskiego [...], Aleksandra Emilia została żoną wywodzącego się z dobrej, starej rodziny, ustosunkowanego Józefa Weyssenhoffa, a Emilia poślubiła potomka starego rodu - hrabiego Ksawerego Hołyńskiego. Dwie Epsteinówny zostały żonami hrabiego Rzysszczewskiego i hrabiego Grabowskiego1.

Podobnie postąpiły córki wspomnianego już Józefa Frageta. Aniela wyszła za pana Pawła Kicińskiego, Julia - za Teodora Rogozińskiego z Soczówki w Opoczyńskim. Jedynie średnia córka Henryka wyszła za pana Strejera, o którym wiadomo tyle, że był skromny, pracowity i poważny. Wkrótce jednak umarł i nowym mężem Henryki został pułkownik wojsk cesarskich, Chłopicki, dzięki czemu także i ona dołączyła do skoligaconych sióstr2. Jedyne dziecko Józefa, Julian Fraget, wydał córkę Marię Antoninę za Czesława księcia Światopełk-Mirskiego.

W kręgach świeżo wzbogaconej burżuazji snobowano się na małżeństwa z nosicielami nazwisk kończących się na -ski; dawało to awans w hierarchii towarzyskiej. Nie było to jednak proste i często wymagało poważnego główkowania, co barwnie odmalował Marian Gawalewicz, XIX-wieczny pisarz warszawski, w powieści *Mechesy*, gdzie brat bratu klaruje, jak żyć i jakiej żony szukać:

Zbankrutowanej szlachcianki - nie wzięłbyś, a arystokratka za nas nie wyjdzie, z Żydówką żenić się nie możesz, a przechrzcianki szukają hrabiów, no - i nie potośmy wyszli z tej sfery, aby do niej powracać. Z biedną się nie ożenisz, bo to mezalians majątkowy i miliony nasze zresztą są warte, aby za nie dostać coś odpowiedniego [...]. Widzisz zatem, że to nie łatwe zadanie - ożenić się tak, aby pod każdym względem dobrze trafić. W tym społeczeństwie nazwiska mają jeszcze swoją wartość, a pieniądze swoją; jeśli się jedno z drugim dopasuje, to co...?3.

Na ironię zakrawa fakt, że to, co napływowym bogaczom wydawało się w polszczyźnie najbardziej przyciągające, szczerze mierziło czołowego myśliciela narodowego, Romana Dmowskiego, który tak się o wielkopańskich manierach wyrażał w fundamentalnych dla endecji *Myślach nowoczesnego Polaka*:

Jedynym niemal żywiołem w Polsce, tworzącym w życiu kulturę, pozostała w chwili upadku Rzeczypospolitej sfera wielkoszlachecka. [•••] Toteż, gdy oświecony ogół krajów zachodnich, rosąc szybko w liczbę w ostatnim stuleciu, przyjmował kulturę mieszczańską, kulturę pracy, zabiegów, wysiłków i obowiązków, u nas ta sama warstwa przyjęła kulturę wielkoszlachecką, kulturę nieobowiązkowości, używania, a jeszcze więcej popisywania się, wywyższania itd. Tą kulturą po dziś dzień żyjemy: ludzie najciężej zarabiający na chleb, gdy im się powodzi, starają u nas dociągać zaraz do typu wielkopańskiego; synowie zamożnych kupców, przemysłowców, a jeszcze więcej cieszących się dobrą praktyką lekarzy, adwokatów itd., zarówno z powierzchowności, jak i z pojęć, które im wpojono, robią wrażenie młodych hrabiów, dostatecznie przygotowanych do odziedziczenia dużej renty; ludzie robiący fortuny na zawijaniu pieprzu lub pisaniu skarg

sądowych, tracą je potem, kupując dobra itd.4.

A jednak ta właśnie wielkopańska kultura, niby niepraktyczna tradycja walk „O waszą wolność i naszą” była w wieku XIX najpraktyczniejsza. Bo jako jedyna dawała coś więcej niż tylko proste zbijanie fortuny, miała w sobie iskrę misji, zew poświęcenia i uniwersalność, która zjednywała jej zwolenników wśród przybyszów.

Leopold Kronenberg, który mawiał, że „najtrudniej o pierwszy milion, następne przychodzą już same”⁵, w okresie powstania styczniowego, zamiast zajmować się swoim domem bankowy, zaangażował się w insurekcję, zostając członkiem dykcji stronnictwa Białych. Błogosławiony abp Zygmunt Szczęsny Feliński wspomina, że kiedy komitet powstańczy żądał od wszystkich zamożniejszych mieszkańców Warszawy dziesięciu procent od dochodu do kasy narodowej, „jeszcze uprzejmiej znalazł się Leopold Kronenberg, najbogatszy warszawski bankier; gdy bowiem zażądano od niego dwadzieścia tysięcy podatku, odrzekł, że Komitet się omylił w wyliczeniu, gdyż od niego należy się czterdzieści, i natychmiast takową sumę wyliczył”. Zresztą, kiedy mowa o powstaniu, warto pamiętać, że i sam Romuald Traugutt pochodził z niemieckiej rodziny von Traugutt.

Zaangażowanie w powstanie nie wyszło Kronenbergowi na zdrowie – zagrożony aresztowaniem, lepszego klimatu szukał we Francji. Powrócił w roku 1864 i przed śmiercią w roku 1878 zdążył otrzymać tytuł szlachecki (1868), założyć Bank Handlowy (1870) i Szkołę Handlową w Warszawie (1875). Jego syn Stanisław był współtwórcą warszawskiej filharmonii.

O błyskawicznej, z pokolenia na pokolenie, polonizacji warszawskich Niemców pisze Bolesław Prus w *Lalce*. Ignacy Rzecki wspomina, że w czasach, gdy był jeszcze młodym subiektem, pracował w sklepie niemieckiego kupca Jana Mincla, który po polsku mówił słabo i do końca życia nie mógł się języka wyuczyć. Oprócz Rzeckiego w sklepie pracowali dwaj bratankowie właściciela - Jan i Franc Minclowie oraz niejaki August Katz. Prus kazał całej tej gromadzie przeżyć następującą scenkę:

Dobry ten człowiek [stary Mincel] miał jedną wadę, oto – nienawidził Napoleona. Sam nigdy o nim nie wspominał, lecz na dźwięk nazwiska Bonapartego dostawał jakby ataku wściekizny; siniał na twarzy, pluł i wrzeszczał: szelma! szpitzbub! Rozbójnik!... Usłyszawszy pierwszy raz tak szkaradne wymysły nieomal straciłem przytomność. Chciałem coś hardego powiedzieć staremu i uciec do pana Raczka, który już ożenił się z moją ciotką. Nagle dostrzegłem, że Jan Mincel zasłoniwszy usta dłonią coś mruczy i robi miny do Katza. Wytężam słuch i - oto co mówi Jan:

- Baję stary, baję! Napoleon był chwata, choćby za to samo, że wygnał hyclów Szwabów. Nieprawda, Katz?

A August Katz zmrużył oczy i dalej krajał mydło. Oszupiałem ze zdziwienia, lecz w tej chwili bardzo polubiłem Jana Mincla i Augusta Katza. Z czasem przekonałem się, że w naszym małym sklepie istnieją aż dwa wielkie stronnictwa, z których jedno, składające się ze starego Mincla i jego matki, bardzo lubiło Niemców, a drugie, złożone z młodych Minclów i Katza, nienawidziło ich. O ile pamiętam, ja tylko byłem neutralny.

Była więc dla Prusa (ten akurat, w odróżnieniu od pozostałych bohaterów artykułu był Polakiem nie tylko z wyboru!) wyobraźalna sytuacja, że w latach 40. XIX wieku w Warszawie dwóch młodych Niemców tak bardzo jest Polakami, że - szczerze nie cierpi Niemców!

Patriotyzm studencki

Ciekawą i właściwie nie opowiedzianą historią jest polonizowanie się Niemców i przedstawicieli innych narodowości w polskich korporacjach akademickich, szczególnie w XIX-wiecznych uczelniach Rygi i Dorpatu. Zupełnie niezwykle są pod tym względem doświadczenia Konwentu Polonia (zwanego też w pewnym okresie Ogółem Studentów Polskich), który powstał na uniwersytecie dorpackim w roku 1828. Częścią uczelni tej był jedyny w Cesarstwie Rosyjskim fakultet teologii protestanckiej. Z konieczności, zazwyczaj finansowej, studiowali na nim synowie niemieckich pastorów z ziem polskich. Ustrój akademicki Dorpatu właściwie przymuszał ich do przystępowania do korporacji, i to niekoniecznie według kryterium narodowego. W tamtych czasach decydował raczej kraj, z którego dany student przybywał - a Konwent Polonia był właściwy dla wszystkich z terenów dawnej Rzeczypospolitej. Młodzi ewangelicy uczący się na pastorów przybywali na uczelnię z jeszcze nie do końca wykrystalizowanym poczuciem narodowym i trafiali wprost do patriotycznie nastawionego koła przyjaciół-Polaków. Doprowadziło to do zjawiska zupełnie zaskakującego: w rosyjskim imperium, prowadzącym wobec Polaków politykę surowszej lub łagodniejszej rusyfikacji (posuwającej się do zakazywania publicznego używania języka polskiego) i w kulturowo niemieckiej prowincji tegoż imperium, na uczelni z językiem wykładowym niemieckim doszło do polonizacji znacznej części protestanckiej elity.

Jeden z owych spolszczających się Niemców, Edward Heinrich, wspomina:

Gospodarzem Ogółu był Franciszek Ungern-Sternberg, rodem z witebskiej guberni, student medycyny [...] Otóż ten ówczesny gospodarz Ogółu po odbytych już głosowaniu miał mnie przyjąć do stowarzyszenia. Idąc w oznaczonej godzinie na Steinstrasse do domu Webera, gdzie mieszkał Ungern-Sternberg z bratem swoim Stanisławem, studentem agronomii, doznawałem niemal równego niepokoju, jak przed matrykulacją. U gospodarza zastałem kasjera, bibliotekarza i jeszcze dwóch starszych kolegów. W ich obecności miał gospodarz do mnie przemowę, jak do każdego nowo wstępującego, w której wyraził cel koła koleżeńskiegó i przyszłe moje względem niego obowiązki. Treściwie a poważnie mówił, że zadaniem Ogółu jest łączenie młodzieży z różnych stron kraju, pomaganie sobie wzajemnie intelektualne, etyczne i materialne [...]. Obowiązkiem każdego członka jest poznanie własnej ziemi: prócz studiów specjalnych obowiązkiem jest więc poznanie historii i literatury własnego narodu. Przez wzajemne obcowanie kolegów z różnych dzielnic winniśmy tym lepiej poznać własną ziemię, na której obywateli mamy się kształcić. I rzeczywiście ówczesny Ogół spełniał to zadanie, jak gdyby były jego dewizą słowa Supińskiego: „Pierwszym artykułem wiary naszej jest powołanie wszystkich do pracy obywatelskiej, bezwzględna kompetentność każdego stanu, stronnictwa i wyznania. Chlubą narodu jest pozyskiwanie nowych obywateli”.

Warto zdać sobie sprawę z faktu, że słowa te napisał człowiek, którego ojciec - Teodor - urodził się w Wittenbergu nad Łabą. Sam Edward urodził się już w Warszawie i, jak wspomina, bardzo słabo znał język niemiecki. Niezwykła moc tej opowieści tkwi w fakcie, że o patriotyzmie i obowiązkach narodowych pouczał Heinricha Franciszek Ungern-Sternberg, z baranowskiej rodziny inflanckiej, czysto niemieckiego pochodzenia.

O stosunkach polsko-niemieckich w Dorpacie świadczy anegdota przytaczana przez Jana Niedziałkowskiego: „Na jubileuszu Curonii [korporacji niemieckiej] składali życzenia w imieniu Polonii: Weyssenhoff, Schoeneich i Schmidt. Dziękował im prezes Curonii, Dąbrowski”.

Podobne zdarzenia miały miejsce w Rydze, gdzie miejscowe społeczeństwo niemieckie ufundowało politechnikę. Powstały tam korporacje Arkonia (1879) i Welecja (1883).

Historyk Welecji wspomina: „Oto członek niemieckiego Burschenschaftu Rubonia, Julius v.

Maydell, w prostej linii potomek osiadłych tam Kawalerów Mieczowych, sprzykrzył sobie burszowskie obyczaje rodzimej korporacji, wystąpił z niej, zbliżył się do Welecji i po jakimś czasie został do niej przyjęty. Tam wyrósł na polskiego patriotę. Po pierwszej wojnie światowej osiadł w Bydgoszczy, a gdy w czasie drugiej wojny światowej odszukał go w Warszawie pułkownik Wehrmachtu, baron v. Maydell, ofiarując mu w imieniu niemieckiej rodziny pomoc i opiekę, filister Welecji Juliusz v. Maydell wskazał mu drzwi mówiąc, że krewniaka w takim mundurze znać nie chce i niczego od niego nie przyjmie⁶. Podobnie na liście członków Arkonii znajdujemy nazwiska francuskie (Virion, de Rosset), irlandzkie (O'Brien de Lacy, O'Rourke), szkockie (Bower de St. Claire) - o niemieckich i żydowskich nie wspominając.

Analogiczną do opowieści Niedziałkowskiego historię opowiada członek Arkonii, Adam Tokarski, o Andrzeju Manteufflu:

W pewnym momencie wywiązała się między nim a gospodarzami dość burzliwa dyskusja, z której zrozumiałem, że Niemcy chwalili się przed Rysiem, jako doskonali fechtmiestrze. A trzeba dodać, że szermierka była ulubionym sportem Rysia. Pozatym jak z rozmowy wynikało, gospodarze dowiedziawszy się, że Rysio nosi nazwisko Manteuffel, chcieli mu udowodnić, że jest niemieckiego pochodzenia. Taka postawa Niemców doprowadziła Rysia do gniewu. Choć ród jego wywodził się z dalekiej Kurlandji, wszyscy jego członkowie uważali się za Polaków i wielkich patriotów polskich. Dość powiedzieć, że Rysio wyzwiał jednego z rozmówców na pojedynek na szable.

Warto wspomnieć i braci Bursche, innych wybitnych duchownych protestanckich, którzy przeszli przez dorpacki Konwent Polonia. Starszy, Juliusz, organizował wydział teologii ewangelickiej na Uniwersytecie Warszawskim, potem został jego profesorem. Młodszy z braci, Edmund, był Superintendentem Generalnym Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce (odpowiednik prymasa). Niemieckie pochodzenie nie uchroniło ich podczas II wojny światowej. Juliusz Bursche został w 1939 roku aresztowany przez gestapo i osadzony w więzieniu w Moabicy, gdzie zmarł. Edmunda więziono w kacetach Sachsenhausen-Oranienburg i Mauthausen-Gusen i ostatecznie zamordowano.

Innym znanym luterańskim pastorem, członkiem Polonii, był Zygmunt Michelis. Choć sam był pochodzenia niemieckiego, to za obronę Warszawy w 1939 roku dostał Krzyż Walecznych. Więziony w Sachsenhausen i Oranienburgu, na pytanie o niemieckie korzenie odpowiedział śmiało: „Jeśli nawet w moich żyłach choćby odrobina krwi niemieckiej była, to już dawno wasze pluskwy ją wypily”.

Polonizacja rodzin inflanckich baronów jest zjawiskiem trudnym do wytłumaczenia. Ludzie ci pochodzili z rodzin niemieckich i żyli pod władzą cesarstwa rosyjskiego. W tych warunkach postanawiali zostać Polakami. Jeden z nich, zupełnie spolszczony baron Gustaw Manteuffel, opisywał dawne niemieckie rody, które przyjęły polską kulturę i narodowość: Mohlowie, Platerowie (z nich wywodziła się Emilia Plater), Ungern-Sternbergowie.

O rodzinie Landsbergów tak pisał:

ród ten przybył na kresy inflanckie znad Renu w XVI w. [...] Gałąź polska tego rodu kwitnie po dzień dzisiejszy na Litwie i zespoliła się najzupełniej z nową swoją ojczyzną. Niektórzy jej członkowie zaliczani są do tzw. Litwomianów.

„Litwomania” Landsbergów zaszła tak daleko, że jeden z nich, Vytautas, został w końcu prezydentem Republiki Litwy.

Sita nieistniejącego państwa

Wiek XIX, okres w którym państwo polskie nie istniało, rozdzielone pomiędzy sąsiadów, był jednak z jakiegoś powodu okresem narodowej ofensywy. W sytuacji, gdy dla inteligenta z Warszawy czy Wilna naturalnym kierunkiem kariery był wschód - całe rzesze obcokrajowców przyjmowały język i kulturę polską. Jaka była tego przyczyna?

Może rację ma Aleksander Świętochowski, gdy pisze:

Czy wielu jest takich, którzy by odważyli się twierdzić, że Polacy utraciwszy niepodległość, zdobyliby sobie szczęśliwszą dolę, gdyby ulegle pozwolili jak drób trzymać się w kojcach i zarzynać [...].

Włoczenie ogromnej części tego odwiecznie kulturalnego i nawykłego do odwiecznej wolności narodu w szranki, które zaledwie wystarczyłyby potrzebom dzikiej hordy, oddanie go na łup wścieklej samowoli, odjęcie mu wszystkich praw do naturalnego objawiania swych myśli, uczuć i dążeń stworzyło zrozumiałą determinizm dla jego chęć, który uzewnętrznił się stałym, w chwilach większego natężenia wybuchającym buntem. Wszystkie tedy powstania nasze były koniecznością wywołaną przez warunki naszej niewoli.

Czy tylko koniecznością, której niepodobna było pokonać, ale byłoby szczęściem uniknąć? Niewątpliwie działał w nich instynkt samozachowawczy, który zawsze rozeznaje właściwe środki ratunku od śmierci, który pozorami szkód okrywa korzyści i wśród klęsk zewnętrznych przeprowadza zbawienie wewnętrzne. Być może, iż bez rewolucji w roku '30 i '63 naród nasz doskonale by się utuczyl i ważyłby dużo, ale prawdopodobnie byłby dziś tylko spasionym wieprzem.

Stańcycy i ich krewniacy polityczni mają zupełną słuszność zarzucając nam, że ciągle burzimy chlew, który nam budują rządy; czy jednak żyjąc spokojnie w tym chlewie, możemy zachować naszą istotę? Po rozbiorach Polacy mieli do wyboru dwie drogi: albo wynaturzyć się, znikczemnić, posłużyć za karm dla swoich zaborców albo nie bacząc na wszystkie straty, porażki, ruiny, ratować swoje życie ciągłym buntem przeciwko gwałtom.

Polskość okazała się atrakcyjna, bo nierozzerwalnie związana była z duchem wolności, ukształtowanym przez I Rzeczpospolitą - państwo już nieistniejące, a na tle ówczesnej Europy zupełnie wyjątkowe. Państwo niemalże anarchistyczne, które „nie rządem stało, a - swobodami obywateli!”. Być może ten „stały, w chwilach większego natężenia wybuchający bunt”, wyrażony w pismach polskich poetów, pociągał młodzież i inteligentów, bo czuli oni w nim ten powiew wolnego ducha, coś mocnego i prawdziwego. To jest jakaś odpowiedź, może zbyt prosta, może grzesząca pychą „wyższości kultury polskiej nad ościennymi”. Ale pytanie pozostaje.

Warto pytanie to zadać sobie raz jeszcze, po dekadach odbrażawiania polskiej historii, wmawiania sobie niskiej wartości. Co spowodowało, że tak wielu wybitnych myślicieli, pisarzy, naukowców, duchownych wybrało polskość? Co pociągnęło młodzież i studenterię? Co było magnesem dla wzbogaconej burżuazji, na tyle silnym, że odrzucała swoją kulturę – niemiecką, francuską czy żydowską i opowiadała się po stronie polskiej?

BARTŁOMIEJ KACHNIARZ

Za pomoc udzieloną podczas pracy nad tekstem dziękuję prof. Janowi Rynkowskiemu i dr. Adamowi Sowińskiemu.

Pisząc tekst, korzystałem z następujących opracowań:

M. Budziarek, *Łodzianie a insurekcja styczniowa*, „Przegląd Powszechny” 2/2006.

H. i B. Estreicherowie. *Acta Universitatis lugiellonicae*, marzec-maj 1998.

Bł. Z.Sz. Feliński, *Pamiętniki*, Warszawa 1986.

A. Herz, *Żydzi w kulturze polskiej*. Warszawa 1987.

E. Heinrich, *Luźne kartki ze wspomnień uniwersyteckich*. Warszawa 2003.

J. Janicki. *Cały Lwów na mój głów*. Warszawa 1993.

M. Łukowska. *Mit Lodzermenscha a rzeczywistość dawnej i współczesnej Łodzi*, w: *Materiały do etnografii miasta t. 3*. Żyrardów 1994.

98 FRONDA 39

C. Manteuffel. *O starodawnej szlachcie krzyżacko-rycerskiej na kresach inflanckich*, Lwów 1912.

J. Niedziałkowski, *Podzwonne Konwentowi Polonia*, „Lwów i Wilno” nr 33, Londyn 1947.

F. Papee, *Historia miasta Lwowa w zarysie*, Lwów-Warszawa 1924.

M. Siennicka, *Portret warszawskiej burżuazji XIX i początku XX wieku*, w: *Miasto i kultura*, t. 2, Warszawa 1998.

W. Szolginia, *Tamten Lwów. Z niebios nad Lwowem*, Wrocław 1996.

A. Świętochowski, *Po siedemdziesięciu pięciu latach*.

A. Tokarski. *Gdy w żyłach Rysia Manteuffla polska krew zagrała*, „Biuletyn Arkoński” nr 37, Warszawa 2001.

A. Wróblewski. *Fragetowe łyżeczki*. Warszawa 1955.

asw, *Ludzie, sylwetki, biografie*, <http://www.diapozytyw.pl>

Księga pamiątkowa stulecia Arkonii, Londyn 1981.

Polska Korporacja Akademicka „We/ega” 1883-1988. Warszawa 1989.

PRZYPISY

1 M. Siennicka, *Portret warszawskiej burżuazji XIX i początku XX wieku*, w: *Miasto i kultura*, t. 2, Warszawa 1998, s. 94.

2 A. Wróblewski, *Fragetowe łyżeczki*, Warszawa 1955, s. 23.

3 M. Gawalewicz, *Mechesy*, Warszawa 1893-1894, t. 1, s. 367, za: M. Siennicka, dz.cyt., s. 96.

4 R. Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka*, Wrocław 2002.

5 A. Wróblewski, dz.cyt., s. 5.

6 *Polska Korporacja Akademicka „Welecja” 1883-1988*, Warszawa 1989.

Clive Staples Lewis

Listy starego diabła do młodego

List 7

Mój drogi Piołunie

Dziwię się, jak możesz mnie pytać o to, czy koniecznie należy utrzymać pacjenta w niewiedzy o twoim istnieniu. Ta kwestia, przynajmniej w obecnej fazie walki, została rozstrzygnięta za nas przez Naczelne Dowództwo. Na razie winniśmy przyjąć taktykę ukrywania się. Naturalnie nie zawsze tak bywało. W rzeczy samej stoimy tu wobec okrutnego dylematu. Gdy ludzie nie wierzą w nasze istnienie, jesteśmy pozbawieni wszystkich przyjemności wynikających z bezpośredniego terroryzowania, i nie ma miejsca na czarnoksiężników. Z drugiej znów strony, gdy w nas wierzą, nie możemy z nich robić materialistów i sceptyków. W każdym razie do tej pory jeszcze nie. Mam głęboką nadzieję, że we właściwym czasie nauczymy się, jak uczulić i umitologizować ich wiedzę do tego stopnia, by przemycić do niej to, co w gruncie rzeczy jest wiarą w nas (oczywiście nie nazywając tego w ten sposób), przy równoczesnym odgrózeniu ludzkiego umysłu od wiary w Nieprzyjaciela. "Siła życiowa", kult seksu i pewne aspekty psychoanalizy mogą się tu przydać. Jeśli raz wyprodukujemy swe arcydzieło: Materialistycznego Maga, człowieka, który nie spożytkowuje, lecz prawdziwie czci to, co nazywa mgliście "Siłami Natury", zaprzeczając jednocześnie istnieniu "duchów", wówczas koniec wojny będzie już widoczny. Na razie jednak musimy słuchać rozkazów. Nie sądzę, by utrzymanie pacjenta w niewiedzy mogło ci sprawić dużo kłopotu. Dopomoże ci fakt, iż "diabły" są przeważnie we współczesnej imaginacji osobistościami nader komicznymi. Jeśli w najmniejszym stopniu twój pacjent zaczyna podejrzewać twoje istnienie, zasugeruj mu obrazek czegoś w czerwonych trykotach i wytłumacz mu, że skoro nie może uwierzyć w coś podobnego (jest to stara, podręcznikowa metoda wprowadzania ich w błąd), zatem nie może wierzyć i w ciebie.

Nie zapomniałem swej obietnicy zastanowienia nad tym, czy mamy pacjenta uczynić skrajnym patriotą czy zagorzałym pacyfistą. Powinniśmy popierać wszelkie skrajności z wyjątkiem skrajnego poświęcenia się Nieprzyjacielowi. Nie zawsze naturalnie, ale w obecnych czasach z pewnością. W niektórych stuleciach panuje duch obojętności i zadowolenia z siebie i wtedy naszym zadaniem jest jeszcze bardziej ten stan senności pogłębiać. Inne stulecia, a jednym z takich jest obecne, mają charakter nie zrównoważony, skłonne są do rozbicia na partie i wówczas zadaniem naszym jest wszelkie różnic jeszcze bardziej zaogniać. Każda grupa ludzi związana jakimiś interesami, których inni nie lubią lub ignorują zmierza do wytworzenia w swoim gronie cieplarnianej atmosfery wzajemnej adoracji, a w stosunku do świata zewnętrznego wykazuje wiele pychy i nienawiści, nie odczuwając z tego powodu wstydu, jako że patronuje im "Sprawa", a ta, w ich przekonaniu, pozbawiona jest charakteru osobistego. Dzieje się tak nawet wówczas, gdy ta mała grupa już z założenia swego ma służyć osobistym celom Nieprzyjaciela. Pragniemy, by Kościół był mały nie tylko dlatego, by mniej ludzi mogło poznać Nieprzyjaciela, lecz również dlatego, by ci, którzy Go już znają, przesiąknęli tą charakterystyczną dla tajnego stowarzyszenia lub klikli atmosferą niespokojnego napięcia i defensywnego faryzeizmu. Sam Kościół naturalnie jest mocno strzeżony i nigdy jeszcze nie udało się nam nadać mu, wszystkich cech klikli, lecz drugorzędne stronnictwa należące do Kościoła często wydawały owoce godne podziwu, i to począwszy od zwolenników Pawła i Apollona w Koryncie, a skończywszy na Wysokim i Niskim Stronnictwie w Kościele anglikańskim. Jeśli da się doprowadzić do tego, aby twój pacjent stał się jednym z tych, którzy uchylają się od służby wojskowej z uwagi na nakazy sumienia, to automatycznie znajdzie on sobie jedno z tych małych, natarczywych, zorganizowanych i zarazem niepopularnych stowarzyszeń, skutki, jakie to wywrze na człowieku, który dopiero co przystał do chrześcijaństwa, będą prawie na pewno dobre lecz tylko prawie na pewno. Czy miał poważne wątpliwości co do słuszności brania

udziału w sprawiedliwej wojnie, zanim zaczęła się obecna? Czy jest mężczyzną odważnym, i to tak bardzo, że nie będzie miał nawet półświadomych wątpliwości co do istotnych motywów swego pacyfizmu? Czy wtedy, gdy jest najbliżzej uczciwości (żaden człowiek nie jest jej nigdy bardzo bliski), może się czuć w pełni przeświadczony, że siłą napędową jego postępowania jest wyłącznie pragnienie służenia Nieprzyjacielowi? Jeśli jest człowiekiem tego pokroju, to jego pacyfizm prawdopodobnie nie przyniesie nam wiele dobrego, a Nieprzyjaciel uchroni go zapewne od zwykłych konsekwencji należenia do sekty. W takim wypadku najlepszym planem byłoby pokusić się o raptowny, emocjonalny kryzys, z którego mógłby wyjść jako chwiejny konwertyta na patriotyzm. Takie rzeczy nierzadko się zdarzają. Lecz jeśli jest człowiekiem, za jakiego ja go biorę, to próbuj Pacyfizmu.

Którąkolwiek postawę wybierze, twoje główne zadanie będzie takie samo. Na początek niech zacznie traktować Patriotyzm lub Pacyfizm jako część składową swej religii. Następnie pod naporem atmosfery stronnictwa niech zacznie uważać ją za najważniejszą część. Z kolei subtelными zabiegami doprowadź go spokojnie i stopniowo do tego stadium, w którym religia staje się tylko częścią „sprawy” i w którym chrześcijaństwo ceni się głównie za to, że dostarcza ono wybornych argumentów na rzecz brytyjskiej akcji wojennej bądź na rzecz Pacyfizmu. Postawa, której musi zapobiec, to ta, w której sprawy doczesne traktuje się przede wszystkim jako przedmiot posłuszeństwa. Skoro raz uczynisz Świat celem, a wiarę środkiem do celu, to niemal zdobyłeś już swego człowieka, a to, jakiego rodzaju światowy cel sobie obrał, nie ma już większego znaczenia. Byle tylko zebrania, broszury, plany działania, ruchy ideowe, sprawy i krucjaty znaczyły dla niego więcej niż modlitwa, sakramenty i miłosierdzie, a będzie nasz - a im bardziej będzie „religijny” (w tym rozumieniu), tym pewniej będzie nasz. Mógłbym ci tu pokazać niezgorszą klatkę zapełnioną podobnymi okazami.

Twój kochający stryj
Krętacz

List 18

Mój drogi Piołunie

Nawet w szkole prowadzonej przez Sługobę musiałeś się uczyć rutyniarzkiej techniki kuszenia seksualnego, a ponieważ dla nas duchów cała ta dziedzina jest wyjątkowo nudna (jakkolwiek stanowi konieczną część naszego wyszkolenia), nie będę się nad nią zatrzymywał. Lecz jeśli chodzi o wyrobienie sobie szerszego spojrzenia na te zagadnienia, to sądzę, że musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Wymagania Nieprzyjaciela stawiane ludziom przybierają formę dylematu: albo zupełna wstrzemięźliwość, albo konsekwentne jednożeństwo. Już od chwili pierwszego wielkiego zwycięstwa Naszego Ojca całkowita wstrzemięźliwość dzięki naszym zabiegom jest dla ludzi zadaniem niezwykle trudnym. Natomiast ucieczkę w drugim kierunku zagrządzamy im już od kilkuset lat. Dokonujemy tego przez poetów i powieściopisarzy, przekonując ludzi, że jedyną przyzwoitą pobudką wstępowania w związek małżeński jest owo ciekawe, a zazwyczaj krótkotrwałe przeżycie zwane "zakochaniem się", że małżeństwo może i powinno to przeżycie utrwalić i że małżeństwo, które tego nie spełnia, przestaje być obowiązujące. W ten sposób sparodiowaliśmy ideę pochodzącą od Nieprzyjaciela. Cała filozofia Piekła opiera się na uznaniu pewnika, że jedna rzecz nie jest drugą rzeczą, a zwłaszcza, że jedna jaźń nie jest drugą jaźnią. Moje dobro jest tylko moim dobrem, a twoje dobro jest twoim. Co jeden zyskuje, to drugi traci. Nawet martwy przedmiot jest tym, czym jest, dzięki wykluczeniu z zajmowanej przez siebie przestrzeni

wszelkich innych przedmiotów; jeśli coś się powiększa, czyni to przez odepchnięcie od siebie innych przedmiotów albo przez pochłonięcie ich. To samo odnosi się do ludzkiej osoby. U zwierząt pochłonięcie przybiera formę pożarcia; dla nas, szatanów, oznacza to wessanie woli i wolności osobnika słabszego przez silniejszego. "Być" znaczy "trwać we współzawodnictwie o byt".

Natomiast filozofia Nieprzyjaciela nie jest niczym innym jak ciągłym usiłowaniem zmierzającym do ominięcia tej najoczywistszej prawdy. On zmierza do sprzeczności. Ma być zachowana wielość rzeczy, które w jakiś niewytłumaczony sposób mają również stanowić jedność. Dobro jednej osoby ma być dobrem drugiej. Tę nie- możliwość nazywa On miłością, i to samo monotonne panaceum można wyśledzić we wszystkich Jego poczynaniach, a nawet we wszystkim, czym jest - lub ma pretensję być. Skutkiem tego nawet jeśli chodzi o Jego własny byt, nie zadowala się jednością w sensie ściśle arytmetycznym; chce być troistym, a równocześnie jedynym, by w ten sposób cały ten nonsens o miłości mógł znaleźć oparcie w Jego własnej naturze. Na przeciwległym krańcu tej skali wprowadza On do materii ten obrzydliwy wynalazek - organizm - w którym poszczególne części zostały w sposób przewrotny oderwane od ich naturalnych funkcji rywalizacji i współzawodniczenia pomiędzy sobą, a skierowane ku zgodnemu współdziałaniu dla dobra całości.

Rzeczywisty motyw, jakim kierował się Nieprzyjaciel decydując się na ustanowienie płci jako środka przekazywania życia, jest jednak zbyt widoczny ze sposobu, w jaki ją wykorzystał. Płeć - z naszego punktu widzenia - mogła być całkowicie nieszkodliwa. Mogła być tylko jednym więcej sposobem, w jaki silniejszy osobnik napada na słabszego - jak to ma miejsce wśród pajaków, gdzie oblubienica kończy swe gody weselne pożarciem swego oblubieńca. Lecz u ludzi Nieprzyjaciel połączył niedorzecznie miłość pomiędzy stronami z pożądaniem seksualnym. On również uzależnił potomstwo od rodziców, a rodzicom udzielił impulsu do jego wychowania - stwarzając w ten sposób Rodzinę, podobną do organizmu, tylko gorszą, gdyż jej członkowie są jednostkami bardziej odrębnymi, a równocześnie powiązanymi z sobą w sposób bardziej świadomy i odpowiedzialny. W rzeczywistości okazuje się, że cała ta rzecz to jeszcze jeden pomysł wciągania ludzi w sferę Miłości.

A teraz do rzeczy. Nieprzyjaciel określił zaślubioną parę jako "jedno ciało". Nie powiedział "szczęśliwi zaślubiona para" albo "para zaślubiona, ponieważ była zakochana"; ty jednak możesz doprowadzić do tego, by ludzie to przeoczyli. Możesz również sprawić, by zapomnieli, że człowiek, zwany przez nich Pawłem, nie ograniczył tej jedności wyłącznie do par zaślubionych. Sam stosunek cielesny czyni według niego "jedno ciało". Można więc tak pokierować sprawę, by to, co w pismach Pawła było prostym podkreśleniem doniosłości samego faktu płciowego obcowania, ludzie przyjęli jako literacką pochwałę "zakochania". Prawdą jest, że gdziekolwiek mężczyzna współżyje fizycznie z kobietą, tam - czy strony tego chcą, czy nie chcą - zadzierzga się między nimi transcendentalna więź, która będzie trwała wiecznie, przynosząc szczęście lub cierpienie.

Z prawdziwej przesłanki, że ta transcendentalna więź z przeznaczenia swego miała zmierzać do wytworzenia uczucia miłości i rozbudowania rodziny - co się rzeczywiście nazbyt często zdarza, w wypadku gdy zawiązuje się ją z uczciwymi zamiarami - ludzie powinni, dzięki odpowiednim zabiegom z naszej strony, wysnuć fałszywe przekonanie, że owa mieszanina czułości, lęku i żądzy zwana "zakochaniem się" jest jedyną rzeczą, która czyni małżeństwo szczęśliwym albo świętym. Urobienie takiego błędnego mniemania jest o tyle łatwe, że w Zachodniej Europie "zakochanie" bardzo często poprzedza związki małżeńskie, zawarte zgodnie z wolą i zamierzeniami Nieprzyjaciela, to znaczy z intencją wierności, płodności i dobrej woli; podobnie jak religijne wzruszenie towarzyszy bardzo często - choć nie zawsze - religijnemu nawróceniu. Innymi słowy, trzeba ludzi zachęcać, aby sądzili, że podstawą do małżeństwa jest jakaś mocno ukoloryzowana i wykrzywiona wersja tego, co Nieprzyjaciel istotnie przyobiecał, ale dopiero jako jego rezultat. Osiąga się przez to podwójną korzyść. Z jednej strony, ludzi nie posiadających daru wstrzemięźliwości można odciągnąć od szukania rozwiązania tej trudności w małżeństwie,

ponieważ nie czują się "zakochani" - myśl zaś o zawarciu małżeństwa z jakiegokolwiek innej przyczyny wydaje im się, dzięki naszym wysiłkom, poniżająca czy wręcz cyniczna. I rzeczywiście ludzie tak sądzą. Uważają, że intencja lojalności partnerowi dla zachowania czystości, wzajemnej pomocy i przekazania życia jest czymś niższym od burzliwych emocji. (Postaraj się wytworzyć w twym pacjencie przekonanie, że ceremoniał zaślubin jest w swej istocie czymś obrażającym i poniżającym.) Z drugiej strony, każde seksualne zaślepienie, jakiegokolwiek by ono było, dopóki zmierza do małżeństwa, będzie uważane za "miłość", a "miłość" będzie usprawiedliwiać wszelkie przewinienia człowieka. Rodząca się z takiego myślenia opinia publiczna nie pozwoli mu dostrzec konsekwencji, wynikających z poślubienia osoby bezbożnej, głupiej lub rozpustnej. Lecz więcej na ten temat w następnym liście.

Twój kochający stryj
Krętacz

List 22

Mój drogi Piołunie

Więc jednak twój pacjent zakochał się, i to zakochaniem najgorszego gatunku, jaki się może człowiekowi przytrafić, a na domiar w dziewczynie, która nawet nie figuruje w nadesłanym przez Ciebie raporcie.

Może cię zainteresuje wiadomość, iż minęło już drobne nieporozumienie z Tajną Policją, jakie próbowałeś wywołać, wykorzystując kilka niebaczących wyrażań w jednym z mych listów. Jeśli liczyłeś na to, że tą drogą wymusisz na mnie jakąś pomoc, to się pomyliłeś. Zapłacisz za to, podobnie jak i za inne swe błędy. Tymczasem załączam dopiero co wydaną małą broszurkę na temat nowego Domu Poprawczego dla Niedołężnych Kusicieli. Jest bogato ilustrowana i nie znajdziesz w niej ani jednej nudnej stronicy.

Sprawdziłem akta tej dziewczyny i przeraziłem się tym, co znalazłem. Nie tylko chrześcijanka, lecz taka chrześcijanka - nikczemna, skryta, wdzięcząca się, pruderyjna, małomówna, nieśmiała, spokojna, nic nie znacząca, dziewicza pensjonarka. Przyprawia mnie o mdłości. Ona cuchnie i parzy poprzez same kartki jej akt. Do szaleństwa doprowadza mnie to, że świat coraz bardziej stacza się ostatnio ku gorszemu. W dawnych czasach posłalibyśmy ją po prostu na arenę. To jest odpowiednie miejsce dla takich jak ona. Oczywiście i tam nie przyniosłaby nam wiele pożytku. Dwulicowy mały oszust - znam ten gatunek. Wygląda, jakby miała zemdleć na widok krwi, a potem umiera z uśmiechem. Obludnik w każdym calu. Wydawałoby się, że do trzech zliczyć nie potrafi, a przecież posiada zmysł satyryczny. Stworzenie, które gotowe MNIE uważać za istotę zabawną! Obrzydliwa, nudna, niepozorna skromnisia, a przecież gotowa wpaść w ramiona tego cymbała jak pierwsza lepsza kobieta. Czemu Nieprzyjaciel nie zgładzi jej za to - skoro jest taki zwariowany na punkcie dziewiczości - zamiast patrzeć na to z uśmiechem?

W głębi serca Nieprzyjaciel jest hedonistą. Wszystkie owe posty i nocne czuwania, stosy ofiarne i krzyże są tylko fasadą, czymś na kształt piany u wybrzeży morskich. Im dalej na głębie, im dalej w Jego Królestwo, tym więcej radości - coraz to więcej radości. On nawet nie robi z tego sekretu; u Swej prawicy ma w pogotowiu "radości wieczne". Brrr. Nie sądzę, aby miał On najslabsze pojęcie o tej wzniosłej i surowej tajemnicy, której my dosięgamy w Cierpiętniczej Wizji. On jest wulgarny, Piołunie, o drobnomieszcząńskiej umysłowości. Napełnił swój świat przyjemnościami. Istnieje tyle rzeczy, które ludzie mogą wykonywać codziennie bez żadnego sprzeciwu z Jego strony - śpią, myją się, jedzą, piją, kochają się, bawią, modlą się, pracują. Każda z tych rzeczy musi być wypaczona, jeśli ma przynieść nam jaki taki pożytek. Walczy my w okrutnie niekorzystnych warunkach. Nic z

natury swej nie stoi po naszej stronie. (To cię oczywiście nie usprawiedliwia. Policzę się wkrótce z tobą; zawsze mnie nienawidziłeś i jeśli tylko potrafiłeś się zdobyć na tyle odwagi, okazywałeś swe zuchwalstwo.)

Z kolei, ma się rozumieć, pacjent pozna rodzinę tej kobiety i całe jej otoczenie. Czy nie zdawałeś sobie sprawy, że dom, w którym ona mieszka, jest właśnie tym, do którego twój pacjent nie powinien był nigdy wejść? Cały ten teren zalatuje tym zabójczym odorem. Nawet ogrodnik, który tam jest dopiero od pięciu lat, zaczyna nim nasiąkać. Nawet goście po weekendowych odwiedzinach unoszą z sobą coś z tego zapachu. Pies i kot są tym skażone. Dom pełen nieprzeniknionej tajemnicy. Jesteśmy pewni (wynika to z podstawowych założeń), że każdy członek tej rodziny musi w jakiś sposób wykorzystywać pozostałych, lecz nie możemy odkryć, w jaki sposób to czyni. Podobnie jak sam Nieprzyjaciół, strzegą zazdrośnie tajemnicy tego, co się rzeczywiście kryje za owym udawaniem bezinteresownej miłości. Cały dom i ogród to jedna wielka ohyda. Jest w tym odrażające podobieństwo do opisu, jaki pewien ich pisarz dał o Niebie: "Przestworza, gdzie jest tylko życie, a wszystko, co nie jest muzyką, jest milczeniem".

Muzyka i milczenie - jakże nie cierpię jednego i drugiego. Jakże wdzięczni powinniśmy być, że od chwili, w której Ojciec Nasz wkroczył do Piekła (a stało się to dawniej, niż potrafiliby to wyrazić ludzie liczący na lata świetlne), ani skrawek piekielnej przestrzeni, ani chwilka piekielnego czasu nie zostały objęte żadną z tych dwu obrzydliwych sił, lecz wszystko objął Hałas - Hałas, ten wielki dynamizm, słyszalny wyraz wszystkiego, co triumfujące, bezlitosne i męskie - Hałas, który jest jedyną naszą ochroną przed głupimi żalami, rozpaczliwymi skrupułami i nieziszczalnymi pragnieniami. Cały wszechświat przemienimy w końcu w hałas. Jeśli chodzi o Ziemię, to mamy już w tej dziedzinie poważne osiągnięcia. Melodie i cisza Nieba zostaną w końcu przekrzywane. Przyznaję, że nie jesteśmy wystarczająco krzykliwi i wciąż są poważne braki w tej dziedzinie. Postęp jednak trwa. Tymczasem ty, podły... wstrętny...

(Tu rękopis urywa się i dalszy ciąg listu pisany jest inną ręką).

Widzę, że w gorączce komponowania pozwoliłem sobie niebacznie na przybranie formy wielkiej stonogi. Wobec tego resztę dyktuję memu sekretarzowi. Obecnie, skoro moje przekształcenie jest już zupełne, rozpoznaję je jako zjawisko okresowe. Jakies pogłoski na ten temat dotarły do ludzi i przekręcony opis tego znajduje się u poety Milтона ze śmiesznym dodatkiem, że takie zmiany postaci są "karą" nałożoną na nas przez Nieprzyjaciela. Bardziej nowoczesny pisarz - ktoś o nazwisku podobnym do "Pshaw" - uchwycił jednak prawdę. Przekształcenie wypływa z wewnątrz i jest wspaniałą manifestacją tej Siły Życia, którą czciłby nasz Ojciec, gdyby w ogóle był zdolny czcić cokolwiek prócz siebie. W mej obecnej postaci jeszcze bardziej pragnę ujrzeć cię i połączyć cię ze mną w nierozzerwalnym uścisku.

(podpisano) Toadpipe

W zastępstwie jego Przepastnej Wzniosłości

Podsekretarza Krętacza, T.E.B.S. etc.

Adam Mickiewicz Księgi Pielgrzymstwa Polskiego

- 1 Duszą Narodu polskiego jest pielgrzymstwo polskie.
- 2 A każdy Polak w pielgrzymstwie nie nazywa się tułaczem, bo tułacz jest człowiek błądzący bez celu.
- 3 Ani wygnańcem, bo wygnańcem jest człowiek wygnany wyrokiem urzędu, a Polaka nie wygnał urząd jego.
- 4 Polak w pielgrzymstwie nie ma jeszcze imienia swego, ale będzie mu to imię potem nadane, jako i wyznawcom Chrystusa imię ich potem nadane było.
- 5 A tymczasem Polak nazywa się pielgrzymem, iż uczynił ślub wędrówki do ziemi świętej, Ojczyzny wolnej, ślubował wędrować póty, aż ją znajdzie.
- 6 Ale Naród polski nie jest bóstwem jak Chrystus, więc dusza jego, pielgrzymując po otchłani, zbłądzić może, i byłby odwleczonej powrót jej do ciała i zmartwychwstanie.
- 7 Odczytujmy więc Ewangelią Chrystusa.
- 8 I te nauki i przypowieści, które zebrał Chrześcijanin pielgrzym z ust i pism Chrześcijan Polaków, męczenników i pielgrzymów.

- 1 The soul of the Polish nation is, the Polish pilgrimage.
- 2 And no Pole, in his pilgrimage, is called a vagrant; because, a vagrant is a man that wanders about without having any object in view;
- 3 Nor is he rightly called an exile; because, he only is called an exile who is expelled his country by the decree of a tribunal; but no tribunal of his country has expelled any Pole.
- 4 The Pole, in his pilgrimage, is not yet called by his proper name; but the time will come, when he shall obtain that name; like the disciples of Christ, whose name was given them in due time.
- 5 In the mean while, the Pole passes under the denomination of a pilgrim; because he made a vow of wandering to the Holy Land – to his free father land; and he has made this vow, to wander until he shall have redeemed his land.
- 6 But the nature of the Polish nation is not divine, like the nature of Christ; his soul, therefore, wandering on the abyss, is apt to err, and thereby must be obstructed in its return, to its body, and delay the resurrection.
- 7 Let us, then, read the Gospel of Christ.
- 8 And those rules and sayings which the Christian pilgrim gathered from the lips or writings of Christian Poles, of martyrs, and of his fellow pilgrims.

- 1 L'âme de la nation polonaise, ce sont les pèlerins polonais.
- 2 Et chaque Polonais en pèlerinage ne s'appelle pas réfugié, car un réfugié ne songe qu'à trouver un refuge sûr, et ne voit rien au delà.
- 3 Il ne s'appelle pas non plus exilé, car l'exilé est un homme forcé de quitter son pays par le décret d'une autorité légitime, et le Polonais n'est pas exilé par une autorité légitime.
- 4 Le Polonais en pèlerinage n'a pas encore de nom, mais son nom lui sera donné dans son temps, comme on a donné un nom aux confesseurs du Christ quand le temps en est venu.
- 5 Et, en attendant, le Polonais s'appelle pèlerin, parce qu'il a fait le vœu d'aller en pèlerinage à la Terre-Sainte, c'est-à-dire à sa patrie affranchie, et il a fait vœu de poursuivre son pèlerinage jusqu'à ce qu'il la trouve.
- 6 Mais la nation polonaise n'est pas Dieu comme le Christ, et son âme voyageant en pèlerinage dans les Limbes peut se tromper de chemin; et son retour à son corps, et sa résurrection seraient ainsi retardés.

7 Lisons donc avec attention l'Évangile du Christ.

8 Et ces instructions et paraboles qu'un chrétien pèlerin a recueillies de la bouche et des écrits des chrétiens polonais, martyrs et pèlerins.

1 Lenkų tautos siela yra lenkų piligrimai.

2 O nè vienas lenkas piligrimas nesivadina klajokliu, nes klajoklis – žmogus, klajojantis be tikslo.

3 Nei tremtiniu, nes tremtinys yra žmogus, išvartytas valdžios nuosprendžiu, o lenko jo valdžia neišvarė.

4 Lenkas piligrimas dar neturi vardo, bet tas vardas jam bus duotas vėliau, kaip ir Kristaus išpažintojams vardas buvo vėliau duotas.

5 O tuo tarpu lenkas vadinasi piligrimu, nes davė šventą priesaiką keliauti į Šventąją Žemę – laisvą tėvynę, pažadėjo keliauti tol, kol ją atras.

6 Tačiau lenkų tauta nėra dievybė kaip Kristus, tad jos siela gali nuklysti nuo piligrimo kelio, ir tai sutrukdytų jos sugrįžimą į kūną bei prisikėlimą.

7 Tad skaitykime Kristaus Evangeliją.

8 Ir tuos mokymus ir palyginimus, kuriuos krikščionis piligrimas surinko iš lenkų krikščionių, kankinių ir piligrimų lūpų bei užrašų.

1 Душа польского народа — это польское пилигримство.

2 И ни один поляк в пилигримстве не именуется скитальцем, ибо скиталец — это человек, блуждающий без цели.

3 И не изгнанником, ибо изгнанник — это человек, изгнанный приговором властей, а поляка не изгнали власти его.

4 Поляк в пилигримстве не обретает еще имени своего, но это имя будет ему дано потом, как и исповедникам ХРИСТА имя их потом было даровано.

5 А между тем поляк именуется пилигримом, ибо дал обет странствовать к святой земле, свободному Отечеству, — обещал странствовать дотол, доколе ее не отыщет.

6 Но польский народ — не божество, как ХРИСТОС, а потому душа его, странствуя по безднам, может сбиться с пути — и тогда затянется возвращение ее в тело и воскресение.

7 Так будем же читать Евангелие ХРИСТОВО.

8 И те поучения и притчи, которые пилигрим-христианин собрал из уст и писаний христиан-поляков, мучеников и пилигримов.

I

1 Płynęły po morzu okręty wielkie wojenne i statek jeden mały rybacki. A był czas burzliwy jesienny; w tym czasie im okręt większy, tym bezpieczniejszy, a im mniejszy, tym niebezpieczniejszy.

2 Rzekli więc ludzie z brzegu: Błogosławieni żeglarze okrętów wielkich! biada żeglarzom w statku rybackim czasu jesiennego!

3 Ale nie widzieli ludzie z brzegu, iż na okrętach wielkich popili się majtkowie i zbuntowali się, i potłukli narzędzia, przez które sternik uważa gwiazdy, i skruszyli iglicę żeglarską magnesową, wszakże okręty zdawały się na pozór równie potężne jak pierwej.

4 Ale nie mogąc widzieć gwiazdy na niebie i nie mając iglicy magnesowej, zbłądziły i potonęły okręty wielkie.

5 A statek rybacki, patrząc na niebo i na iglicę, nie zbłądził i doszedł brzegu, a chociaż rozbił się przy brzegu, uratowali się, ludzie i uratowali narzędzia swe i iglicę swą. A okręt znowu odbudują.

6 I pokazało się, że wielkość i moc okrętów dobre są, ale bez gwiazdy i kompasu niczym są.

7 A gwiazdą pielgrzymstwa jest wiara niebieska, a iglicą magnesową jest miłość Ojczyzny.

8 Gwiazda świeci dla wszystkich, a iglica kieruje zawsze na północ. A wszakże z tą iglicą można żeglować i na wschodzie, i na zachodzie, a bez niej i na morzu północnym przyjdzie błąd i rozbicie.
 9 Więc z wiarą i miłością wypłynie statek pielgrzymi polski, a bez wiary i miłości ludy wojenne i potężne zabłądzą i rozbiją się. A kto z nich wyratuje się, nie odbuduje okrętu.

II

5 Dlaczegoż dana jest Narodowi Waszemu moc zmartwychwstania?

6 Nie dlatego, że Naród Wasz był potężny, bo Rzymianie potężniejsi byli, i umarli, a nie zmartwychwstają.

7 Nie dlatego, że Wasza Rzeczpospolita była starożytna i sławna, bo Wenecja i Genua były starożytniejsze i sławniejsze, i umarły, a nie zmartwychwstają.

8 Nie dlatego, że Naród Wasz był oświecony naukami, bo Grecja, matka filozofów, umarła i leżała w grobie, aż zapomniała o wszystkich naukach, a kiedy stała się prostakiem, oto zaczęła ruszać się.

9 I oświecone były królestwa: Westfalskie, Włoskie i Holenderskie, które widzieliście, że porodziły się i poumierły, a nie zmartwychwstają.

10 A Wy będziecie wzbudzeni z grobu, boście wierzący, kochający i nadzieję mający.

11 Wiecie, iż pierwszy umarły, którego Chrystus z grobu wzbudził, był Łazarz.

12 I nie wzbudził Chrystus z grobu ani hetmana, ani filozofa, ani kupca, ale Łazarza.

13 I powiada pismo, iż Chrystus kochał go, i był to jeden człowiek, nad którym Chrystus płakał. A któż jest teraz Łazarzem między narodami?

IV

3 Nie myślcie, aby urząd przez się zły był i nauka przez się " zła była, ale je ludzie zepsuli.

4 Albowiem urząd według Chrystusa był to krzyż, na którym człowiek dobry dawał się przybijać i męczyć dla dobra drugich.

5 Dlatego namaszczano króle jak kapłany, aby zlać na nich łaskę potrzebną do poświęcenia się. A namiestnik Chrystus: nazywał się sługą sług.

6 A nauka podług Chrystusa miała być słowem Bożym, chlebem i zdrojem życia. Powiedział Chrystus: Człowiek nie tylko żyje chlebem, ale i słowem.

7 A póki tak było, szanowano urząd i naukę. Ale potem ludzie podli zaczęli cisnąć się do urzędu jako do łoża ciepłego, aby w nim spać, a cenili miejsce urzędowania jako karczmę przy drodze wedle dochodów jej.

8 A ludzie uczeni rozdawali zamiast chleba truciznę, i głos ich stał się jak szum młynów pustych, w których nie było już zboża wiary; a więc młyny szumią, a nikt się z nich nie nakarmi.

9 A Wy staliście się kamieniem probierczym książąt i mędrców świata tego; bo w pielgrzymstwie Waszym aza nie więcej Wam pomagali żebracy niż książęta, a w bitwach Waszych w więzieniach, i ubóstwie, aza nie więcej Was nakarmił pacierz niżeli nauka Voltaira i Hegla, które są jako trucizna, i nauka Guizota i Cousina, którzy są jako młyny puste?

10 I dlatego poszły w pogardę urzędy i mądrość, bo człowieka podłego nazywają w Europie ministerialnym, to jest człowiekiem urzędowym, a człowieka głupiego nazywają doktrynerem, to jest mędrkiem.

11 Było tak i za czasów przyjścia Chrystusa, iż publikan rzymski, to jest urzędnik, znaczył, to samo co złodziej; a prokonsul, to jest rządca, znaczył to samo co ciemieżyciel; a faryzeusz, człowiek piśmienny żydowski, znaczył toż samo co chytry; a sofista, czyli mędrzec grecki, znaczył toż samo co oszust. I to znaczenie zostało im aż do dnia dzisiejszego.

12 A od przyjścia Waszego takie znaczenie będą miały w Chrześcijaństwie: słowo roi i słowo lord, i słowo par, i słowo minister, i słowo profesor.

13 Ale Wy powołani jesteście, abyście wrócili do poszanowania w kraju Waszym i w całym Chrześcijaństwie urząd i naukę.

V

1 Nieraz mówią Wam, iż jesteście wpośród Narodów ucywilizowanych i macie od nich uczyć się cywilizacji, ale wiedźcie, że ci, którzy Wam mówią o cywilizacji, sami nie rozumieją co mówią.

2 Wyraz cywilizacja znaczyl obywatelstwo, od słowa łacińskiego civis, obywatel. Obywatelem zaś nazywano człowieka, który poświęcał się za Ojczyznę swą, jako Scevola i Kurcjusz, i Decjusz, a poświęcenie się takie nazywano obywatelstwem. Była to cnota pogańska, mniej doskonała niżeli cnota chrześcijańska, która każe poświęcać się nie tylko za Ojczyznę swą, ale za wszystkich ludzi; wszakże była cnotą.

3 Ale potem, w bałwochwalczym pomieszaniu języków, nazwano cywilizacją modne i wykwiłtne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatra i szerokie drogi.

4 Toć nie tylko chrześcijanin, ale poganin rzymski, gdyby powstał z grobu i obaczył ludzi, których teraz nazywają cywilizowanymi, tedy obruszyłby się gniewem i zapytałby, jakim prawem nazywają siebie tytułem, który pochodzi od słowa civis, obywatel.

5 Nie dziwujcie się więc tak bardzo Narodom, które w dobrym bycie tyją, albo gospodarne i rządne są.

6 Bo jeżeli Naród dobrze mający się i dobrze jedzący i pijący ma być najwięcej szanowany, tedy szanujcie między sobą ludzi, którzy są najtuczniejsi i najzdrowsi. Owóz i zwierzęta mają te przymioty; ale na człowieka to nie dosyć.

7 A jeżeli Narody gospodarne mają być najdoskonalsze, tedy mrówki przewyższają wszystkich gospodarnością; ale na człowieka to nie dosyć.

8 A jeżeli Narody rządne mają być doskonałe, tedy kto lepiej rządzi się jak pszczoły; ale na człowieka to nie dosyć.

9 Albowiem cywilizacja, prawdziwie godna człowieka, musi być chrześcijańska.

10 Pewny obywatel miał kilku synów i wychował ich pobożnie i cnotliwie w domu, a potem starszych, skoro z dzieciństwa wyszli, posłał do szkoły wielkiej.

11 Starsi tedy, będąc cnotliwi i pilni, uczyli się dobrze i zyskali poszanowanie u wszystkich, i dobrze im się wiodło, i postąpili znacznie w mądrości.

12 A widząc, iż im dzieje się dobrze, wzbili się w dumę i rzekli: Szanują nas ludzie, i słusznie, bośmy mędrsi od wielu innych, i potrzeba, żebyśmy lepiej od innych mieszkali i ubierali się, i świata używali.

13 Ale iż Ojciec nie dosyć dosyłał pieniędzy, bo dosyłał w miarę potrzeb, a nie w miarę zbytku, przestali więc zgłaszać się do Ojca, i pokłócili się z nim, i zaczęli sami starać się o pieniądze, sposobem naprzód godziwym, potem robiąc długi na rachunek dziedzictwa, i znaleźli lichwiarza, który im hojnie dodawał, przewidując ruinę ich. Potem, będąc niespokojni i smutni, umyślili pocieszać się pijaństwem i rozpustą i mówili do siebie: Ojciec nas ostrzegął o złych skutkach pijaństwa i rozpusty, ale mamy teraz swój rozum, spróbujmy, czy się nie pocieszymy, używając trunku i rozkoszy w miarę, jak przystało na ludzi rozumnych.

14 Ale potem stracili miarę i stali się pijakami wielkimi i rozpustnikami, a dla dostania pieniędzy oszustami. Lichwiarz zaś, wyrobiwszy na nich wyrok sądowy i mając już dziedzictwo ich w ręku swych, nic im nie dawał.

15 Wpadli więc w nędzę, a Ojciec dowiedziawszy się wydziedziczył ich, i oddani są lichwiarzowi do wyrobku; a pracując przypominali przestrogi Ojca i myśleli w sercu: szkoda, żeśmy go nie słuchali. Ale iż byli pyszni, nie chcieli pisać z przeproszeniem do Ojca, który płakał po nich. I ci, co nie wstydzili się całego świata, wstydzili się łajdaków, którzy w więzieniu pracowali z nimi, i obawiali się, aby łajdacy nie powiedzieli o nich, iż słabego serca są i płaczą, i Ojca przepraszają. I tak pomarli.

16 I widząc to sąsiedzi, rzekli: Oto ci młodzieńcy byli cnotliwi, póki siedzieli w domu, a jak się wyuczyli w szkole, stali się tli; nauka tedy musi być złą rzeczą, chowajmy więc dzieci w głupstwie.

17 Ale Ojciec mądry był i nie zraził się tym, i posłał młodszych synów także do szkoły wielkiej, ale kazał im brać przykład z braci starszych.

18 Więc młodszy nie zapominali nigdy nauk Ojca, i postąpili równie jak starsi w naukach, a byli

zawsze cnotliwi i szanowani, i pokazali sąsiadom, iż nauka dobrą jest rzeczą, a Ojca zawsze słuchać trzeba.

19 Otóż Kościół chrześcijański był owym Ojcem, a dziećmi starszymi byli Francuzi i Anglicy, i Niemcy; a pieniądzem dobry byt i sława światowa, a lichwiarz był diabłem; a młodszymi braćmi Polacy i Irlandczycy, i Belgowie, i inne Narody wierzące.

VIII

1 Za dawnych czasów byli w Anglii gospodarze, mający wielkie stada bydła i trzody owiec.

2 Ale wilcy wpadali często na pole ich i czynili szkodę.

3 Wzięli więc strzelby i psy, odpędzali i zabijali zwierza, ale zwierz, odpędzony jedną stroną, powracał drugą, a na miejscu jednego zabitego rodziło się dziesięć. A gospodarze na polowaniu ustawicznym zubożeli, trzymając wiele psów i kupując broń. Stada ich i trzody ich niszczyły.

4 Aż drudzy gospodarze, mędrsi, rzekli: Pójdźmy dalej za zwierzem, aż do lasu, a wytępił go w gnieździe jego. Ale wilcy przyszli znowu z drugich lasów, i owi gospodarze zubożeli, i trzody potracili.

5 Zubożawszy poszli do sąsiadów i rzekli: Zbierzmy cały lud, polujmy rok cały, aż wygładzimy wilki na całej wyspie: bo Anglia jest wyspą.

6 Poszli tedy i polowali, aż wytępił zwierza co do jednego; potem złożyli broń, rozpuścili psiarnię, a barany ich pasą się bez pasterza od owych czasów aż do dziś dnia.

IX

1 Zaś w kraju włoskim był powiat bardzo żyzny w oliwę i ryż, ale niezdrowy, bo latem przychodziło nań powietrze, zwane malaria, które febrę śmiertelną przynosi.

2 Ludzie owego powiatu jedni kadzili w domach swych łożąc wielkie pieniądze na kadzidło, drudzy budowali parkany od zachodu, skąd mór przychodził, inni uciekali w niezdrową porę. aż wszyscy wymarli, i stał się powiat ten pusty, a po gajach oliwnych i polach ryżowych chodziły dzikie świny.

3 I przyszła malaria do drugiego powiatu, i zaczęli znowu ludzie kadzić się i uciekał, aż znalazł się człowiek mądry i rzekł im:

4 Złe powietrze rodzi się daleko od was, w bagnie, o mil pięćdziesiąt stąd, pójdźcie więc, osuszcie bagno spuszczać wodę; a jeśli sami od złego powietrza pomrzecie, zostaną dzieci wasze w dziedzictwie waszym, a powiat was błogosławić będzie.

5 Ale owi ludnie lenili się iść daleko i obawiali się śmierci, więc wkrótce pomarli w łożach swych. Złe powietrze idzie dalej i zajęło już dziesięć powiatów.

6 Bo kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego.

XII

1 W radach Waszych i znowach nie naśladowajcie bałwochwalców.

2 Bo niektórzy z Was zaczynali rady i znowy, i spiski, do których trzeba mądrości i zgody, zaczynali przy obiadach i wieczerzach, od jedzenia i od picia.

3 A któż kiedy widział, aby brzuch pełny dawał mądrość, i głowa pijana zgodę; aby z mięsa i z wina wskrzesić Ojczyznę?

4 I dlatego znowy i spiski takie nie udają się, bo jaki początek, taki koniec.

5 A lekarze wiedzą, iż dziecię poczęte z ojca, który się obzał i opił, głupie jest i niedługo żyje.

6 Przeto i Wy zaczynajcie radę i znowę obyczajem przodków, idąc na mszę i do komunii; a co wtenczas uradzicie, mądre będzie.

7 I nie widziano nigdy, iżby ludzie byli niezgodni dnia tego, kiedy przystępowali pobożnie do komunii, i aby dnia tego byli lekliwi.

8 Wchodząc na radę albo znowę, upokorzcie się przed oczyma Waszymi, albowiem bez pokory nie

ma zgody.

9 Stąd nie mówi się do ludzi: podnieście się do zgody, ale: skłońcie się do zgody.

XIV

1 Niech każdy składa talent swój Ojczyźnie, jako dar w karbonę tajemnie, i nie mówiąc, wiele złożył. Przyjdzie czas, że się karbona napelni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył.

2 Ale jeśli chwalić się będziecie, iż tyle a tyle złożyliście, tedy wyśmieją Was ludzie i poznają, żeście dawali talent Wasz tylko dla chluby.

3 Zasluga dla Ojczyzny jest jako proch.

4 Kto proch szeroko rozsypie i podpali, zrobi mały błysk, bez mocy i huku, i skutku.

5 Ale kto proch zakopie głęboko i podpali, tedy wywróci ziemię i mur z hukiem i skutkiem, a ludzie mówić będą: Zaiste było tam wiele prochu; chociaż było niewiele, ale w zakopaniu głębokim.

6 Przeważnie i zasługa głęboko schowana pokaże się sławnie; a kto ją tak schowa, że się na tym świecie nigdy nie pokaże, tedy ukaże się w wieczności, i huk jej będzie nieskończony, i blask jej nigdy nie gasnący; i skutek jej na wieki.

7 Zasluga dla Ojczyzny jest jako ziarno; kto obnosi to ziarno w rękę i wszystkim pokazuje wołając: Oto jest ziarno wielkie tedy wysuszy je i nic z niego nie otrzyma

8 Ale kto zakopie ziarno w ziemię, a czeka cierpliwie kilka tygodni, tedy ziarno wyda roślinę.

9 Ale kto schowa ziarno w kłosie na rok przyszedł, na życie s przyszedł, ten otrzyma ziarno sto; a z tych stu tysięcy tysięcy.

10 A przeważnie, im kto dłużej czeka nagrody, tym większą weźmie; a kto jej tu nie weźmie, tam weźmie największą.

XVII

1 Jesteście w pielgrzymstwie Waszym na ziemi cudzej, jako był lud Boży na puszczy.

2 Strzeżcie się w pielgrzymstwie utyskiwania i narzekania, i powątpiewania. Grzechy to są.

3 Wiecie, iż gdy lud Boży wracał do ziemi przodków, do Ziemi Świętej, tedy pielgrzymował w puszczy, a wielu z ludu Bożego tęskniło i mówiło: Wróćmy do Egiptu; będziemy tam w ziemi niewoli, ale będziemy mieli obfitość mięsa i cebuli.

4 I powiada Pismo Święte, iż BÓG obrażony przedłużył pielgrzymkę narodu, aż dopóki wszyscy ci, którzy tęsknili, nie wymarli na puszczy; bo żaden z nich nie miał ujrzeć Ziemi Świętej.

5 Wiecie, iż byli drudzy między ludem Bożym, którzy nie ufali prorokom swym i mówili: A jakże zdobędziem ziemię przodków, kiedy mamy przeciw sobie króle mocne, i ludy, jako ludy olbrzymów?

6 I powiada Pismo Święte, iż BÓG, obrażony tym niedowiarstwem, przedłużył znowu pielgrzymkę narodu, aż wszyscy ci, którzy wątpili, pomarli na puszczy; bo żaden z nich nie miał ujrzeć Ziemi Świętej.

7 A nie tylko ci, którzy głośno narzekali i wątpili, ale i ci, którzy w sercach swych narzekali i wątpili, pomarli także; bo czyta BÓG w sercach jako w książce otwartej, chociaż dla drugich zamknięta jest.

8 Przeważnie strzelcie się grzechu narzekania i wątpienia, abyście nie przedłużyli dni pielgrzymstwa Waszego.

(...)

16 Zaprawdę mówię Wam, iż żołnierz, który walczy bez wiary w dobroć sprawy swojej, zwierzem jest ; a dowódca, który prowadzi na bój bez wiary w sprawę swoją, rozbójnikiem jest.

17 Człowiek zaraźliwy bije się w polu i zabija dwóch nieprzyjaciół, a wróciwszy do namiotu, psuje serca żołnierzy i zabija dziesięciu swoich na duszy.

18 Jest on podobny do człowieka, który chodzi do kościoła i klęczy, a wróciwszy do domu, śmieje

się przed dziećmi z BOGA i z Wiary.

19 A niech się nie tłumaczy mówiąc, iż co innego jest postępowanie i czyn, a co innego myśl i mowa; bo przeciwko Ojczyźnie można ciężko grzeszyć mową i myślą, a każdy z tych grzechów nie ujdzie kary swej.

XIX

5 Nie rozprawiajcie wiele o formie przyszłego rządu w Polsce. Nie ci najlepiej urządzają, którzy rozprawiają, ale ci, którzy najmocniej czują i najpełniej są poświęceni się.

(...)

13 Podobna jest Rzeczpospolita, którą założy macie, do lasu, który sieje gospodarz.

14 Jeśli gospodarz zasieje nasienie dobre na ziemi dobrej, może być pewny, iż się drzewa urodzą, i nie ma potrzeby myśleć o formie drzew i lękać się, aby się dęby nie urodziły z kolcami, a jodły z liśćmi.

15 Zasiewajcie więc miłość Ojczyzny i duch poświęcenia się, a bądźcie pewni, iż wyrosnie Rzeczpospolita wielka i piękna.

XX

1 Leżała pewna niewiasta w letargu, i wezwał syn lekarzy.

2 Rzekli wszyscy lekarze: Wybierz jednego z nas, aby ją leczył.

3 Rzekł jeden lekarz: Ja będę ją leczył podług nauki Browna; - ale drudzy odpowiedzieli: Zła to jest nauka; niech lepiej w letargu leży i umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług Browna.

4 Rzekł drugi: Ja będę ją leczył podług nauki Hannemana; - odpowiedzieli drudzy: Zła to nauka; niech lepiej umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług nauki Hannemana.

5 Tedy rzekł syn niewiasty: Leczenie jakkolwiek, bylebyście ją wyleczyli. – Ale lekarze nie chcieli zgodzić się, jeden żadnym sposobem nie chciał ustąpi drugiemu.

6 Tedy syn z żalem i rozpaczą zawołał: O matko moja! – A niewiasta na ten głos syna obudziła się, i wyzdrowiała. Lekarzów wypędzono.

7 Są z Was niektórzy, którzy mówią: Niech lepiej Polska leży w niewoli, niż gdyby zbudzić się miała według arystokracji; – a drudzy: Niech lepiej leży, niż gdyby zbudzić się miała według demokracji; – a inni: Niech lepiej leży, niż gdyby miała granice takie, a inni owakie. – Ci wszyscy są lekarzami, nie synami, i nie kochają matki Ojczyzny.

8 Zaprawdę powiadam Wam: Nie badajcie, jaki będzie rząd w Polsce, dosyć Wam wiedzieć, iż będzie lepszy niż 'wszystkie, o których wiecie; ani pytajcie o jej granicach, bo większe będą, niż były kiedykolwiek.

9 A każdy z Was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic.

10 O ile powiększycie i polepszycie duszę Waszą, o tyle polepszycie prawa Wasze i powiększycie granice.

Józef Musioł

Przestępczo szeptanka

- Oskarżony Kopiec, czy przyznajecie się do winy dopuszczenia zarzuconych wam w akcie oskarżenia przestępstw? – zapytał przewodniczący składu orzekającego.

- Wysoki Sądzie, adyc wy mie znocie, tela razy zech tu był. Wiecie przeca dobrze, że jo uciek od Andersa, co mie zawrzył skuli gupich rozynek, coch doł klasie robotniczej i biedocie w kapitalistycznej Italiji. A teraz jak mamy już przejść do tej winy, toż to wszystko zależy od tego, co jest prawda. Czy jest prawda, że że oni se tyn Lwów wzieni sami, czy my im go dali? Jo sie przyznowom do tego, zech pedzioł – no wiecie, miołech trocha wypite, toch był odważny – że to była gupota, wciskać im to miasto.

- Krzyczeliście – wtrącił sędzia: „Te gupki, chachary przeczachrowały z Rusami Lwów!”

- Tak jakoś, panie sędzio. Ale widzicie, jo wtedy był w szynku z Tajojem, co pochodzi ze Lwowa, a teraz mieszko w Bytomiu, no z tym Władkiem, co my w robocie na niego godali „Tajoj”. Karlus se wypił jednego i już zaczon jeno o tym Lwowie: jakie to było piykne miasto, że tam jego rodzina miała ogromny majątek, że była bogato i wszystko to straciła i terazki sie musi tulać. Jo mom miękie serce, Wysoki Sądzie i jo postawił po cyntli[1] i godom mu: „No dyć tu też jest piyknie.” A on zaś to samo. Jak my byli po czwartym, a może piątym kieliszku, to jo sie dziwom, a onymu sie tak oczy błyszczą jak kotu jak mu taszynlampą[2] poświecicie w nocy. To jo mu jeszcze jednego gruch, co by chłop zapomniol o tym Lwowie, a on durch: „Lwów, Lwów ta joj to moje miasto! A templum[3] to sje paliło i paliło! Żeby ty Lwów widziol, to ty by tam też chciol pojechać.” Panie sędzio, tyn karlus tak płakoł, że wyście jeszcze chłopka tak płakać nie widzieli. Co inkszego baba, tak to sie wom rozplacze, kiedy sie jeno i pozdo. Ale żeby tak chłop, i to karlus co mo szkoły, tak płakoł, i jeno o tym Lwowie... To wom powiem, że tak by nie płakoł ani Francik co sie nie ruszy z Rybnika na krok, chyba żeby go z niego wyciepnać. Na pewno tak by nie płakoł jak Tajoj, co go ze Lwowa wycie... przepraszom – co sie ze Lwowa wykludził.[4]

Nie wytrzymał zech wtedy i pedzioł o tym przeczachrowaniu[5] tego Lwowa, ale zech nie godoł, że oni tego Tajoja ze Lwowa wyciepli i że Ruscy nom tyn Lwów ukradli. Jo sie przyznowom do tego, coch pedzioł, a nie do tego, co tam jest napisane w tym akcie oskarżenia. Bo sie trzeba nad tym głęboko zastanowić, panie sędzio, czy to było w porządku – wciskać im tyn Lwów. Przeca oni mają dość starości z inkszymi, i pokoju muszą bronić, i to nie jeno u siebie, ale na całym świecie. A my im jeszcze tyn Lwów, co go do Bytomia nie idzie przyrównać... bo cóż też tam taki tymplum jak tu mamy gruby i te całe werki. Toż jo uważom, że to była gupota. Tela Włódków i takich Tajojów się ze Lwowa musiało skuli tego przekludzić. No może nie musiało, jeno się przekludziło.

I toż rychtyk nie wiem, czy oni se go wzieni, czy my im go wciśli, choć oni tego nie chcieli. Jak my im to wciśli, to my są nie w porządku, bo przeca to są nasi przyjaciele. Tak się nie robi.

- Wysoki Sądzie – wstał prokurator – mam pytanie do oskarżonego.

- Proszę, niech pan prokurator pyta – zezwolił sędzia.

- Czy oskarżony trzymając pod rękę swego kolegę wołał: „Nie płacz Tajoj, idymy na wschód i Lwów ci oddomy! Synki, kto nie nosi galot od parady tyn z nami!”

- Nie przypominom sobie, panie prokuratorze.

- Do sądu proszę mówić – upomniał prokurator.

- Toż dobrze, nie przypominom sobie tego Wysoki Sądzie, boch był łożarty – po waszymu pijany. Tak ganc łożarty to możnej nie, ale jednak, bo my z Tajojem i jego kolegami troszka tej

gorzołki wytultali.[6] Jedyn z jego kolegów to jeszcze tam w gospodzie, romtyn, wkółko, jeno godoł: „Józko, ty pamietasz, ta u nas jako ziemka była ta pod Stanisławowem ta ziemia jak chleb, ta można jeść ją było.”

Wysoki Sądzie, to mi tam w tym szynku sie coś zdało, bo jak można ziemia jeść jak chleb. Jo se wtedy zaroz pomyśłoł: „Te Władki coś są nie rychtyk, abo nie mają gowy do gorzołki.”

- No więc czy oskarżony się ostatecznie przyznaje do winy dopuszczenia się tego przestępstwa (z artykułu 11 em kaka) polegającego na tym, że publicznie nawoływał do czynów skierowanych przeciwko jedności sojuszniczej Państwa Polskiego z państwem sprzymierzonym, do przestępstwa zagrożonego karą więzienia na czas nie krótszy od lat trzech do lat piętnastu?

- Nie, Wysoki Sądzie, niech tyn Lwów już tam se bydzie, jeno mie puśćcie, to jo tego mojego kolegi Tajoja przekonom, że ni mo sie o co bić, bo jak sie coś dało, to sie tego nie odbiero. U nos godają: „Kto dowo i odbiero – tyn sie w piekle poniewiero.”

- A czy i do kolejnego zarzutu oskarżony też się nie przyznaje? – zapytał sędzia.

- Do tego niby, zech wyszydzoł – jak to stoi napisane w tym akcie obskarżenia – ustrój Państwa Polskiego, toż sie nie moga przyznać.

- Ale oskarżony coś tam wykrzykiwał idąc ulicą Młyńską. No coś wtedy głośno śpiewał. Niech sobie oskarżony przypomni, co śpiewał po wyjściu wieczorem z restauracji?

- Jo, Wysoki Sądzie, znom roztomańte pieśniczki i mom tako moda, że jak se wypija, to dycki śpiewom, śpiewom też wtedy, jak mi jest smutno abo mie coś gryzie. Wtedy se tak nuca, tak po cichutku, bo przeca nie wolno inkszych szterować. Śpiewom se tak po cichutku, że jeno jo som sie słysza. Nieprowda, zech głośno wrzeszczoł, bo wrzeszczeć nie musza, bo mie mamulka śpiewała nauczyli i to tela pieśniczek, że jakby jedna na jedyn dzień zaśpiewać, to by roku brakło.

- Czy oskarżony sobie przypomina, jak idąc środkiem ulicy śpiewał na cały głos: „Z przodu łata, z tyłu łata, tak wygląda demokrata”. A potem na zwróconą mu uwagę przez obywatela...

- Przez tego z tajnej?

– Przez obywatela – powtórzył sędzia – krzyczał: Przeżyliśmy wojnę i okupację, przeżyjemy demokrację”?

– Wysoki Sądzie, z tymi łatami to mogło być skuli Ludwika co jeno lotoł do komitetu, a robić mu się nie chciało. Ale baba miał tako co język miała ostry jak brzytwa i dycki się z niego wyśmiewała „z przodu łata, z tyłu łata, tak wyglądo demokrata”. Jak jo się znom na prawie, a pan sędzia to może pedzieć zech tu już niejedna godzina w sądzie przesiedziół, to ni ma to żodne przestępstwo, jeno to, że Ludwik miał rychtyk łaty na galotach i godoł, że jest demokrata. Roz na zebraniu godoł: „dejcie nom dziesięć lot, a tu, o tu bydzie mlykiem i miodem pływać.” Jo teraz rychtyk nie wiem czy mu mogą wierzyć, bo przeca już trocha lot minyło jak to godoł, a jakoś nic. No nie idzie pedzieć, mlyko w barze jest, a miód też można kupić jak kiery mo pijądzie. Gorzej ze szczewikami[7], bo podziwejcie się, jo już te szkarboły[8] nosza trzeci rok i kromfleki[9] już są z jednej strony jak lizek.

– Ale co miał oskarżony wtedy na myśli?

– Jo se wtedy śpiywoł, a nie myśłoł, Wysoki Sądzie.

– A co oskarżony ma do powiedzenia z tym przeżyciem socjalizmu?

– Wysoki Sądzie, to co pan prokurator mi wmawio, że my przeżyli wojna i okupacja – to jest prowda. Czy przeżyjemy i demokracjo to na to odpowiedź jest na ulicy Sztalingradu, kaj wisi napisane: „Komunizm ustrojem, do którego śmiało kroczy naród polski.” Tak se myśla, że jak teraz mamy demokracjo, a kroczy my dalij, to kansik

dojdymy, no do tego komunizmu. A jak bydymy już tam – to nie bydymy tu.

- O to was też prokuratura nie oskarżyła, a tylko o wyszydzenie w tej piosence z latami. A to zdaniem prokuratury jest przestępstwem, bo zgodnie z artykułem dwudziestym dziewiątym małego kodeksu karnego: kto publicznie lży, wyszydza lub poniża ustrój Państwa Polskiego podlega karze więzienia do lat dziesięciu – wyjaśnił prokurator.
- Wysoki Sądzie, jak jo bych mógł poniżać ustrój jak na takim transparamencie...
- Transparamencie...
- No dyć na transparamencie stoło napisane: „Ustrój nasz wysoko i dumnie dzierży klasa robotnicza i biedota wiejska.” Jak on jest tak wysoko, to go się przeca nie do poniżyć. Toż Wysoki Sądzie momy tyn zarzut z głowy, a co do tego leżynio to jo myśla, że on nie leży jeno wisi wysoko na tym transparamencie...
- Proszę oskarżonego, tu chodzi o lżenie, lżenie, a nie lezenie – zwrócił uwagę sędzia.
- Lżenie, jak wy to padocie. A co to jest, jak to nie jest leżenie Wysoki Sądzie? Jo tu rychtyk nie wiem, co odymie chce pan prokurator, i to skuli gupich Alojzowych galot, co miały na kolanach i na rzici łaty. Nigdy zech se nie myślał, że za pieśniczka się idzie do haresztu.
- No to przejdźmy teraz do kolejnego zarzutu stawianego przez prokuratorę, a mianowicie do rozpowszechniania przez oskarżonego fałszywych wiadomości mogących wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego bądź obniżyć powagę jego naczelných organów. Prokuratura oskarża was o przestępstwo z artykułu dwudziestego drugiego małego kodeksu karnego. Czy oskarżony przyznaje się do winy dopuszczenia się tego przestępstwa?
- Nie wiem, o co chodzi.
- No to może oskarżonemu przypomnieć, co szeptał na targu do ucha pewnemu obywatelowi? - powiedział prokurator.
- Panie prokuratorze, do ucha to jo szeptca dziółchom abo księdzu na spowiedzi. Tam na targowisku to my godali o interesach, o gołębiach, briwach co nie przyleciały z Holandyje abo z Belgiji.
- Być może, że i o interesach, ale mówiliście również o pochodach pierwszomajowych. No przypomnijcie sobie, przypomnijcie – ciepło namawiał prokurator Kopca jak dobry ojciec namawia syna, aby się przyznał że znów zamiast do szkoły poszedł na wagary.
- A co, to już o naszym święcie robotniczym nie wolno godać? Przed wojną to ujec[10] dycki pierwszego maja chodzili. Wiecie, ciotka to się dycki gorszyli i padali: „Dziwejcie się, on zaś poszoł na wiec zamiast do roboty.” Roz było tak, że przyszoł pod okno Stasiak i zawołał ujca: „Francik idziesz na wiec?” - a ujec na to: „Nie, jo już mom robota.”

Inkszy zaś roz ujec sie naproł.[11] W nocy szoł pod chałupą Fridy, co była zowitzką[12] i miała dziecko z jakimś bogoczym, co łożynić się z nią nie chcioł, ale na chałupa i dziesięć tysięcy doł. No i ujec tak idą łożarty i śpiewają ta pieśniczka: „Kury, gęsi i zielone kaczki nie chciały jajec nieść. Kokot sie dowiedzioł, wojna wypowiedzioł i musiały jajca nieść.”

A musicie wiedzieć, że ujec miely piykny głos, bo śpiewali jeszcze w chórze „Halka” co go Wiluś rozwiązoł, ale jeno wtedy piyknie śpiewali jak byli trzeźwi. Wtedy, jak zech to już pedzioł, mieli trocha w czubie i pod tą chałupą Fridy stanyli i kole północy pora razy zaśpiewali: „Kokot sie dowiedzioł, kokot sie dowiedzioł” bo se nie mogli przypomnieć – skuli gorzołki Wysoki Sądzie – jak ta pieśniczka idzie dalij. Frida tego nie mogła

wytrzymać i wyskoczyła na balkon: „Ty, kokot! Dopiero jest dwanoście, a kokoty zaczynają śpiewać kole piątej rano. Uciekej mi stad do swoigo kurnika, bo na tyn czub co wleja.” Ujec sie z niej nic nie robili i dalij śpiewali o tym kokocie. Wtedy Frida zaś wyskoczyła na balkon i z topka – no wy to nazywocie nocnik – wyłola mu wszystko, co do tego topka to nieślubne dziecko nalulało.[13] I to wom powiem, że od tego czasu ujec już więcej na wiec nie chodził, bo sie chłopcy z niego śmioły i nazywały go „zejscany kokot”.

- Proszę, niech oskarżony jednak powie, co wtedy szeptał na tym targu – przypomniał Kopcowi prokurator.

- Nie pamiętom, Wysoki Sądzie, coch wtedy godoł, możnej zech i co godoł, bo to było jedyn dzień przed pierwszym majem i na wszystkich chałupach wisiały ogromne obrazki z takimi chłopami. Jedyn to miał broda jak święty Józef i jo był pewny, że to jest święty Józef. Było ich na tym obrozku ze sztyrych abo i pięć. Zeflik co też tam był, to się ze mną powadził, bo godoł, że tyn z brodą to sie nazywo Marks, czy jakoś tak, a jomu na to: „Nie, to jest tyn święty Józef, jeno mu zapomnieli te kółko nad głową namalować, jak to wiecie, te nasze niedouczone malyrze... A Zeflik nic jeno Marks, bo sie na kur... kurzach o tym dowiedziol. A jo mu na to: „Zeflik dej se to pedzieć, że to je święty Józef, jeno mu to kółko nad głową zapomnieli namalować.”

Stazyja co handluje świętymi obrozkami, i to nawet przy budach w Częstochowie i Piekarach, kupiła ze sto takich obrozków za półdarmo w sklepie w kierym roztomańte książki sprzedają. Skuli tego tak tanio, bo taki święty co mo taki feler, bo mu kółko zapomnieli nad głową namalować, je myni wert. Ale Stazyja nie jest tako gupio, żeby zarobić nie chciała. Poszła do takiego jednego malyrza co za sztwiertka gorzołki te kółko nad tym Józefem namalowol i ona po tym na odpuscie w Piekarach za każdego świętego Józefa dostała piytnoście razy więcej niż dała. Godom wom, za trzy lata baba se za to chałupa opucowała i dzieci na szkoły posłała. Jednego to aż kajś tam na akademijo, kaj sztydirowol[14], że Pana Bóczka ni ma.

Roz to tyn przyjechoł do naszej świetlicy i miał nom to wytłumaczyć. Godoł tak jakoś, że my go nie mogli zrozumieć, jeno farorz[15] sie z nim chycił.[16] Nie powiem, że przyszli na krzywe pyski, bo to jednak farorz jest osoba duchowno i tak godać nie pasuje. Po tym przyjechoł jeszcze roz, ale jak padają – z prelekcją. Był w czerwonym szlipsisie[17] i powiedziol, że my są już świadomi, bo już nie wierzymy w żodnego Boga jeno w Sztalina. Bo Sztalina widać, a Boga to kiery go widziol? No kiery? Wtedy Maryjka od Hanysa co siedziała na stołku w czwortej raji kole kachloka[18] zawołała: „Ale Pon Bóczek nos widzi”. To wtedy on sie zaczon śmioć i padoł: „Ja, on tam jest i sie na nos dziwo bez lornetki, co?”

Mioł jeszcze roz przyjechać na drugi stopień szkolenia ideologicznego, bo pierwszy to my skończyli i dostali dyplomy. Szkoda, zech nie zrobił tego drugiego stopnia, bo to beznać[19] lepsze jak te szkoły i dobro robota by sie dostało i wtedy, Wysoki Sądzie, byłbych człowiekiem.

- Dlaczego oskarżony nie skończył tego drugiego stopnia? – zapytał prokurator – Nie chciało się wam uczyć, co?

- Nie, bo on już więcej do nos nie przyjechoł. Godają, że przeszrubowol[20] i teraz jest w anszaldzie[21] w Rybniku, no tam, przy tych gupich. Jo licza, że to nie może być prawda, i że to jeno tak zowistni ludzie godają, co Stazyji zowiszczą[22], że tela na świętych Józefkach utarżyła.[23] Jo licza, że taki co tak umioł godać i nie doł se farorzowi pedzieć i umioł nom wytłumaczyć, że my od małpy pochodzimy, to taki ni móg zgupnąć. Na pewno go do Warszawy abo jeszcze kaj dalij wzieni za jakiego ważnego i już mu teraz tak nie pasuje do nos jeździć.

- No tak, ale ciągle oskarżony nie mówi, co mówił tam, co szeptał.

- Panie prokuratorze, przepraszam – Wysoki Sądzie, dyć jo już nie wiem, co tyn prokurator odymie chce, bo jo już wszystko pedzioł. Jak on wie, to niech powie – odrzekł Kopiec.

- No to proszę, Wysoki Sądzie, o odczytanie notatki służbowej sporządzonej przez sierżanta Cegielkę na tę okoliczność – prokurator podał sędziemu numer odnośnego dokumentu.

Notatka służbowa – zaczął odczytywać sędzia –

Dnia dwudziestego ósmego kwietnia uzyskałem poufną wiadomość, że na miejscowym targowisku nieznanemu osobnik uprawia wrogą propagandę wymierzoną wprost w serce socjalizmu. Przybyłem natychmiast na miejsce zdarzenia wraz z trzema funkcjonariuszami Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa. Było nas pięciu, bo jeden z naszych towarzyszy już tam był. Na miejscu objąłem kierownictwo akcji i po chwili zauważyłem osobnika w średnim wieku i średniego wzrostu jak uprawiał propagandę szeptaną. Koło niego stało czterech mężczyzn, z tym iż jednym z nich był nasz człowiek. Niepostrzeżenie – byliśmy wszyscy w cywilu – zbliżyliśmy się wszyscy wokół niego udając, że niby coś też chcemy kupić. Usłyszałem w tej grupce śmiechy i wtedy jeden z nich, czyli nasz funkcjonariusz, powiedział do tego osobnika: „To jest dobry kawał, niech go pan jeszcze raz opowie, abym go mógł koledze powtórzyć.” No i ten osobnik śmiejąc się opowiedział kawał szeptankę: „No jako jest różnica między pierwszym majem przed wojną, za sanacji, a pierwszym majem teraz w demokracji? No co nie wiecie? Tako, że przed wojną na pochód pierwszomajowy szli sami odważni, a teraz sami tchórze.” Osobnik ten mówił w gwarze śląskiej.

Widząc, że poufna informacja jest prawdziwa, dałem znakiem rozkaz zwinięcia osobnika, którym po wylegitymowaniu już w Urzędzie Bezpieczeństwa okazał się ob. Kopiec. Stwierdzając, że czyn tego osobnika stanowi karalną szeptankę z artykułu 22 m k k poleciłem osadzić go w areszcie Urzędu.

- Czy oskarżony Kopiec ma coś do wyjaśnienia w związku z treścią odczytanej notatki? – zapytał sędzia.

- No cóż też moga tu wyjaśnić, jak wy tu wszystko wiecie. To mie jeno dziwi, że to tak wyglądo, że w Polsce nie wolno szeptać. Tegoch nie wiedzioł i nie byłech tego świadom. To jest jedno, a po drugie: jo nie szeptoł jeno godoł tak jak tu do vos. A po trzecie: moga to udowodnić, że ci co przed wojną szli na pochód pierwszomajowy, to rychtyk byli odważne chłopcy. Teraz te co idą na tyn pochód pierwszego maja to sie boją. A wiecie czego sie boją? Boją się reakcji i podziemia, no i farorza też sie boją, że idą pierwszego maja, a nie idą trzeciego maja jak pierwwej chodzili. I jeszcze się boją, że im farorz nie do rozgrzeszynio. To żech mioł na myśli i jo rychtyk nie wiem, czy to jest to przestępstwo – jak to prokurator napisoł – polegające... zaroz wom to odczytom: „na rozpowszechnianiu fałszywych wiadomości, mogących wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego bądź obniżyć powagę jego naczelných organów.”

Panie sędzio dyć to coch pedzioł na targu jest prowda, a nie jakie wiadomości fałszywe i jakosik przestępczo szeptanka. A obniżyć naczelne organy, to Kansz by sie kierymu z nos udało? Naczelne są tam wysoko w Warszawie i choćbych chcioł, to by mi sie to nie udało. Skuli tego Wysoki Sądzie jo za szeptanka nie moga odpowiadać, bo mi żodyn nigdy nie pedzioł, że szeptać nie i koždy patrzy swoij dziolchy. Do ucha szeptce i ją namawio do tego, co przy wszystkich sie nie godo, a bez czego sie wom żodne dziecko nie urodzi.

Bydzcie tacy dobrzy, Wysoki Sądzie, i puście mie, a jo już do końca życia nie byda

nigdy szeptał. Nawet mojej starej byda do ucha ryczoł w nocy, niech się nawet te pierończoki małe obudzą, ale za to nie będzie już więcej obniżano powagi tych najwyższych w Warszawie i kaj indziej.

Źródło: Józef Musioł, *Chachary. Sceny Sądowne w Stalinogrodzie*, Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1989, s. 27-37

-
- [1] *cyntla* - setka
[2] *taszynlampa* - latarka
[3] *templum* - świątynia
[4] *wykludził się* – wyprowadził się
[5] *przezachrować* – przeschachrować, stracić, zaprzepaścić
[6] *wytultali* - wypili
[7] *szczewiki* – buty
[8] *szkarboły* – stare, zużyte buty
[9] *kromfleki* - obcasy
[10] *ujec* - wujek
[11] *naproł się* – upił się
[12] *zowitka* – panna z dzieckiem
[13] *nalulalo* - nasikało
[14] *sztydirowoł* - studiował
[15] *farorz* – ksiądz proboszcz
[16] *chycił się z nim* – pokłócił się z nim
[17] *szlips* - krawat
[18] *kachlok* – piec kaflowy
[19] *bezmać* - podobno
[20] *przeszrubowoł* - zwariował
[21] *ansztald* – szpital dla umysłowo chorych
[22] *zowiszczq* - zazdroścza
[23] *utarzyła* - utargowała

Lech Piwowar Elegia o ginących

Są, którzy gasną, którzy śpiewają o zmierzchu;
powaga ich słabości jest słodka jak jabłko;
są, którzy gasną, wierząc - falą wciąż soczystszą
unosząca noc żadnym nie odda ich światłom,
co trącane czerwienią po wierzchu
nieosiągalnie błyszczą.

Są, którzy w złocie śpiewu cierpią niedobici
i twarz ich stygnie w śmiechu, i ręce pogodnie na krzyż;
są, którzy cisi bez pychy - i dzień każdy ich żegna
na nowo, od początku... Czy ich ten wiatr pochwyti,
któremu składają swą ciszę? Czy nie uleci wzwyż??
Są. Miłość ich pusta, cierpliwość bezwiedna.

Są, którzy wciąż odchodzą, odchodzą bez żalu;
pożegnania ich cierpkie lśnią, jak dęte hasła;
są, którym dzień tracony rozsnuł się, jak obłok,
nad dniem, którego nie ma dla nich w naszych miastach
porzucanych bez końca, choć je gorzko spalą.
Są, którzy.. Jakżeby ich nie być mogło!!

Są, których usta ostre rozdziera lotna pasja;
odwaga ich szaleństwa lśni, jak kościół dumny;
są, którzy we własnym ręku kołyszą oceany
i we własnych oddechach chcieliby ukryć ich ogromne szумы.

Są, którzy nie chcą ginąć na dostrzeganych gwiazdach
I kryją swą wielką śmierć w swym sercu niewypowiedzianym.

Lech Piwowar Żołnierz, który klęczy

Gwiazdy, gwiazdy - wżgarda i łaska!
Oto jest niebo, sina koszula żołnierzy,
obce sercu, wrogie głowie, dalekie ciało,
rozdarte w bombowych blaskach -
widziałem, jak okrywał się nim, nie okryty chwałą,
żołnierz, który nie wierzył.
Szrapnele w lasach rozdierają w strzępy jesień,
w polu tropi zające samolot myśliwski.
Jest to pejzaż pogardy dla człowieka, więc nie ma tu ludzi,
ja jestem tylko drzewem w nocnym lesie
i rozsypuję suche złoto liści
na kompanie, co śpi - aby Bóg jej nie budził.
Lecz świt wszystkie objawia drogi -
i tym, którzy we śnie drżą w objęciach żon,
i tym, co pamiętają sakralne gesty papieża,
i tym, co jadą na okrętach zalanych mgłą -
wszystkim we śnie wszystko było na ścieżaj.
I samolot w te sny wbił swój warkot!
Kto widział zabite miasta, tego zabity sen nie trwoży,
lecz kompania, wybita z cienia, mrugała oczyma jak ślepe dziecko.
Powiniennem to na zawsze zostawić pod powieką martwą,
Zakryć milczącym i zabójczym nożem -
Wszyscyśmy wtedy ujrzeli strach uderzający zdradziecko!
Oficer jak Mojżesz prowadzi w morze ognia,
tak głębokie, jak wysoko do nieba,
tak szerokie, jak horyzont, który kompanie okrąża,
Boże łagodny! Boże mleka i chleba!
Oto litania, której nikt pomyśleć nie zdążył.
A w środku tego morza szara muszla bólu,
wśród kompanii, która przyrastała do zielonych bruzd,
jeśli żołnierz, co klęczy i wyciąga ręce.
Krzyczy jego ciało, on najzarliwiej do ziemi się tuli,
Nie wiem, jakie słowo wyjąć mu z czarnych ust?
Ja jestem drzewo i zamilkam w męcie.

Adam Podlewski

Rabanci

Maciej patrzył w oczy szlachcica i nie znajdował w nich niczego dobrego.

To znaczy: intencje młodziana były czyste. Wierzył we wszystko, co mówił i chyba to najbardziej przerażało Macieja. Pan Piotr Kowicki, brat słynnego Pawła miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Owo ćwierćwiecze przemawiało z buńczutną pewnością siebie, nieskażoną rozsądkiem, ani głębszym namysłunkiem. Oczywiście od strony czysto militarnej plan szlachcica wydawał się Maciejowi całkiem racjonalny, tylko że absolutnie pozbawiony sensu. Powstaniec zamierzał dokonać niemożliwego.

- Dobry człowieku, matka nasza, najdroższa Rzeplita wzywa – mówił Kowicki, opierając dłoń na ramieniu chłopca. – Ciebie też. Patrzaj. Ciebie, włościanina, Rząd Narodowy uczyni swoim panem. Tylko pomóż...

- Waszmość pozwoli – przerwał mu Maciej. Odsunął się na bok i wskazał szlachcicowi wejście do chaty. Siarczysty mróz musiał silnie dokuczać zwiadowcom, skoro przeszkadzał także gospodarzowi. A Maciej Smoła przespał mijającą noc na piecu, miał pełny żołądek i nie czuł w nogach kilku dni tułaczki. – Wejdziesz, waszmość. I poproś swoich do środka. Jadła wiele nie mam, ale odgrzeje wczorajszą polewkę.

Mróz trzymał od tygodnia, gruba warstwa śniegu okrywała małopolskie lasy. W dodatku świt zbliżał się powoli – Kowicki obudził Smołę w najzimniejszym momencie doby, tuż po jutrzni. Szlachcic z wdzięcznością przyjął ofertę. Skinął na towarzyszy, a piątka powstańców wsunęła się do ciepłej chaty gospodarza. Ten wzdygnął się, widząc jak niezwykłych ma gości. Za dwoma wąsatymi szlachciorami szło trzech dziwaków. Jeden z nich miał zwykłą, słowiańską twarz, ale spod futra wystawał mu mundur carskiego artylerzysty. Drugi, potężny blondyn, wydawał się przybyszem z daleka, ale i tak wyglądał znajomo, w porównaniu ze skośnookim, kulawym jeńcem, zamykającym pochód. „Tatar lub Kałmuk” pomyślał Maciej. Wszyscy trzej mieli spętane ręce.

Rodzina Smołów przywitała gości ze stoickim spokojem, nie zdradzając oznak zainteresowania. Właściwie nie obudzili się, a w każdym razie nie dali po sobie tego poznać. Tylko Kachna spojrzała półprzytomnym wzrokiem na męża i przybyszów, ale zaraz senność stępiła jej ciekawość. Maciej zaprowadził przybyszy do ławy pod ścianą, po czym ruszył ku piecowi, aby rozpałić wczorajszy żar. W kociołku zostało niewiele polewki, ale gospodarz uznał, że wraz z porcją sera i mleka owe resztki dobrze zamaskują brak prawdziwego posiłku. „Ciekawe, jak panicz przyjmie chłopską kuchnię” pomyślał i spojrzął na Kowickiego.

Pan Piotr był postacią znaną gospodarzowi ze słyszenia. Kowice leżały w powiecie Maczyńskim, dobre czterdzieści wiorst na północ, ale o rodzinie mówiono i tutaj. Ponoć młodszy z braci był utracjuszem i zakałą rodu – tak szeptano o nim przed powstaniem. Jednak rok wcześniej przerwał bawidamstwo i hulanie za pieniądze brata, wrócił do Królestwa i zaciągnął się do oddziału. Już krótka lustracja twarzy młodego dowódcy powiedziała Smole sporo. Dawny utracjusz szybko zmężniał. Głód i żołnierskie niedole wyrzeźbiły jego oblicze i odcisnęły piętno zdecydowania. Maciej przyznawał, że młodzieńca niedoceniano. Zgodnie z przewidywaniem gospodarza, panicz zjadł strawę bez sylaby skargi, rozkoszując się niespodziewanym posiłkiem. Natychmiast po skończeniu jada, obtarł chusteczką nienagannie przystrzyżone wąsy („Jak on je tu obcina?”), po czym surowo ocenił higienę towarzyszy. Maciej uznał, że z pana Piotra wyrodził się porządny

żołnierz. Może głupi, ale odważny, a wciąż pański.

- Dobry człowieku – zaczął szlachcic. – Zaklinam cię, na Rany Chrystusa, przeprowadź nas przez bory, do Mieszanki. Za rzeką stoi mój brat i kompania powstańcza. Mamy wieści, które nasi muszą poznać. – Widząc niezdecydowanie na twarzy chłopca, dodał. – Mój brat zapłaci. Ja nie mam przy sobie...

- Panie! – przerwał Maciej chyba ostrzej niż zamierzał. – Waśc nie wie co mówi. Ja bym wszystko dla naszej Ojczyzny umęczonej, ale... - Spojrzał na towarzyszy szlachcica. – Niemądrze panowie się bawią. Nic dobrego z tej ruchawki nie będzie.

- Wolność. Wolność dla włościan – powiedział Piotr. – Dyktator Traugutt obwieścił w imieniu Rządu Narodowego, że wszyscy dobrzy chłopcy, co Ojczyźnie w niedoli pomogą...

- Waszmość, ja nie o sobie mówię – sapnął Maciej. – Ja z dziedzicem Wojeńskim dobrze żyję. Tylko o was mi idzie. Głupia rzecz, to powstanie. Gdybyście jeszcze włościan do walki popuścili, to może i jakowyś rezultat by z tego był. A teraz to ino zabawa... - Nagle Maciej wspomniął wymienioną nazwę. – Do Mieszanki iść chcecie? – Szlachcic kiwnął głową. – To źle. Lepiej się w bór nie zapuszczać w takie mrozy.

- To ledwie dwadzieścia wiorst. Zaprowadź nas, a do wieczora będziesz w domu. – Ton powstańca drgał pomiędzy przymilną prośbą a strachem. Oczywiście młodzik nie bał się drogi, nie bał się też wojsk carskich, które według wszelkiego prawdopodobieństwa go goniły. On po prostu zdał sobie sprawę, że może zawieść brata.

- Ale chyba Waszmość nie wie... To zły las, tam, po drodze do Mieszanki. Zwłaszcza zimą, kiedy mrozy trzymają... W takie dni zwłaszcza. - Szlachcic nie przerwał gospodarzowi nawet mruknięciem, jednak dał do zrozumienia, że rpojmuje. Maciejowi zapiekły powieki. - No tak – przerwał dawną myśl. - Teraz sobie pan pomyśli, że my to ciemne chłopstwo, co się własnego cienia boi. Pewnie pan słyszał o tych historiach i uważa mnie za tchórza...

- Nie, dobry człowieku – zapewnił Kowicki uprzejmo-nieszczerym tonem. – Rozumiem, że wypadki z zeszłego roku...

- To wilcy, panie – powiedział zdecydowanie Maciej. – Zimą się w kupy zbierają. – Szlachcic tylko spojrzał na trzy porządne karabiny, które przynieśli powstańcy. O ile samotna wyprawa przez bory rzeczywiście zdawała się niebezpieczna, dla grupy uzbrojonych ludzi nawet cała wataha nie stanowiła problemu. Oczywiście jeśli chłopów z Zapolic faktycznie pożarły zwierzęta...

- Ludzie różne rzeczy gadają – potwierdził szlachcic. – Spotkaliśmy wczoraj takich, co nawet do twego domostwa baliby się zapuścić. Mówili, że w lesie potwory mieszkają. Przekłęci ożywieńcy, co straszą w okolicy od... - W tym momencie zająknął się Kowicki, gdyż wspomnianie zdarzeń sprzed niemal dwóch dekad nie było rozsądne, nawet w domu najpokorniejszego włościanina.

Owszem, ludzie gadali. Że sam Jakub Szela przybył się tu osiedlić ze swoimi kamratami. Władze cesarskie nagrodziły zbrojnika, ale i wyrzuciły z granic Austrii. Więc przyszedł nad Mieszankę przekłęty morderca, a jego grzechy za nim. Mówiono, że Szela się powiesił, albo zwierzyła go w lesie pożarła. Ciało nikt nie widział, choć może to i lepiej – żaden z miejscowych księży nie pochowałby takiego zbrodniarza. I najstarsi ludzie bajali, że Krwawy Jakub nie umarł, choć nikt nie powie że żyje. Poszedł ino do lasu, wraz ze swymi zwierzom podobnymi kamratami i tam straszą lud pobożny, zabijając nieroztropnych wędrowców.

Maciej ściągnął brwi i kaszlnął. Podjął oto decyzję i to najgłupszą z możliwych, bo nie z dobrej woli, nie z ojczyzny umiłowania powziętą, ale z dumy. Chciał gościowi pokazać, że nie straszne mu są powieści bab wioskowych, ani dziecięce strachy. Rzucił okiem na śpiącą rodzinę i zdecydował, że Kachna poradzi sobie w obejściu przez dwa, czy trzy dni. Wstał, już przekonany.

- Gotuj się, Waszmość. Przeprowadzę was – orzekł, czując jednak w duchu, że robi źle. Ostatecznie, mieszkańcy Zapolice też mieli strzelby. Więcej niż trzy.

...

Wyszli jeszcze przed dzwonami na mszę poranną. W prostej linii od rzeki dzieliło ich mniej niż dwadzieścia wiorst, ale żaden gościniec tamtędy nie prowadził. Zapewne Kowicki i tak wolał unikać dróg, przynajmniej tych zaznaczonych na cesarskich mapach. Ruscy ślali dragonów po całym pograniczu, nie chcąc by jakikolwiek oddział powstańczy przedarł się do Galicji. Opowieść o strasznym losie sąsiedniej wioski tak zamroczyła uwagę Macieja, że dopiero poniewczasie zdał sobie sprawę, jak wiele mu grozi - od oprawców jak najbardziej realnych i uchwytanych. W zależności od humoru, carscy żołdacy mogli go puścić wolno, obić lub powiesić na suchej gałęzi, za pomaganie polskim panom. Dlatego Smoła niemal z ulgą poprowadził sanie skrajem lasu, z dala od traktów, ale i z dala od przypuszczalnej pogoni.

Jechali w siódmkę. Chłop nie poznał imion dwóch pozostałych szlachciców, siedzących cicho z tyłu. Jeden z nich był lekko acz boleśnie ranny, drugi nie przejawiał chęci do rozmowy. Jeńcy okazali się znacznie bardziej przyjacielscy, choć nie mówili po polsku. Kałmuk coś mruczał wesoło w gwarze swojego plemienia, jasnowłosy olbrzym chyba go nie rozumiał, ale odpowiadał w swoim języku, co chwila uzupełniając zdania ruskimi słowami. Artylerzysta też ni w ząb po polsku nie umiał, ale gadając, śpiewnym rosyjskim potrafił zwrócić uwagę włościanina, o ile chodziło o rozstaje dróg lub podejrzaną zaspę. Na wszelki jednak wypadek Maciej mówił do Kowickiego, który to rozkazywał powożącemu saniami Moskałowi. Ten wciąż miał powrozy na nogach, ale uwolniono jego dłonie. Widocznie powstańcy uznali, że jeniec i tak nie zamierzał uciekać. Pogoda była dobra – słońce leniwie wstawało, a śnieg chrupał pod kopytami konia i płoźami. Dzień zapowiadał się spokojny, niestety – niezbyt długi.

- Pewnie cię to dziwi, przyjacielu... - zaczął szlachcic, łowiąc jedno ze spojrzeń Smoły, skierowane na Kałmuka - ...że ci jeńcy wcale na pojmany nie wyglądają. Tak to bywa, gospodarzu, kiedy car wciela swoich poddanych do wojska. Jurij to Moskał, język zna, do cerkwi chodzi, ale czy on ma coś przeciw Polakom? Wysłali go do Królestwa, to poszedł, ale złości na naszych w nim nie znajdziesz. A co dopiero Thomas, albo ten tutaj, mongolski gagatek, któremu ichni szamani na sabacie chrzcielnym Zaya Todo na imię dali. On się gdzieś w Azji urodził i pewnie z chęcią by wśród swoich został, ale...

- W lewo, panie – przerwał Maciej. Włościanin patrzył uważnie na drogę, szukając pewniejszego przejścia. Kowicki polecił co trzeba po rosyjsku Finowi, po czym znów spojrzął na przewodnika.

- Nie chcesz w las wjeżdżać, gospodarzu. To już trzeci raz, gdy wybierasz drogę skrajem, choć mi kompas mówi, że nie jedziemy na południe.

- Do rzeki dotrzecie, panie – odparł nieco nerwowo Smoła. – Wybraliście mnie na przewodnika, to mnie słuchajcie. Jadąc pod lasem nie wpadniemy w żadną kabałę. Sanie nie utkną i się nie zgubimy, nawet, gdy przyjdzie zawieja...

- No i wilki... - potwierdził Kowicki. Maciej skinął głową.

Wtedy zdał sobie sprawę, że jego dostojny pasażer też się boi. Nie tylko carskich dragonów, ale także lasu. Historie o masakrze w Zapolicach, mającej być sprawą zbójników-potępieńców, brzmiały mało wiarygodnie. Mimo wszystko coś zabiło trzy tuziny ludzi, nie zostawiając śladu innego, jak objedzone szkielety. Słońce świeciło na małopolski las, ale niewiarygodna cisza, pokrywająca mroźny krajobraz szeptała dziwne myśli do uszu podróżników. Maciej cieszył się, że Kałmuk mówi do niego, nawet w tym pogańskim języku. Gospodarz chyba nie zniósłby milczenia.

- Co wieziecie, Waszmościowie? – zapytał Smoła. Nie ciekawiła go odpowiedź, chciał jedynie podtrzymać konwersację.

- Nic, ino nasze głowy na karkach – odparł Kowicki. – Wpadliśmy na kolumnę carskiej artylerii, ledwie trzydzieści wiorst stąd. Porwaliśmy jedno z ich sań, od razu z trzema jeńcami, kilkoma baryłkami prochu i resztką prowiantu. Języki zawsze się przydadzą... - Spojrzał na pojmanych. – Nawet jeśli ledwo znają mowę chrześcijańską, to przecie narysują jakie armaty, czy dużo koni i wiktu mają Moskale. A ten Fin to jakiś sierżant, piśmienny i inteligentny, choć jak po rusku mówi, to go ledwo rozumiem. Zgodził się powiedzieć mojemu bratu o sile i zamiarach kolumny. On i tak będzie jeszcze dziesięć lat służył i czy u nas w niewoli je przesiedzi, czy do nas strzelał będzie, to już mu obojętne.

Jechali dalej, a Maciej poganiał woźnicę. Chmury powoli zbierały się nad horyzontem, zwiastując śnieg i zawieruchę. Włóścianin obserwował niebo z niepokojem – o ile przedarcie się w zawiei do rzeki nie stanowiło problemu, to on musiał jeszcze wrócić. Nie zamierzał wybrać najkrótszej drogi, więc dom miał zobaczyć być może dopiero za trzy dni. O ile nie trafią na którąś z przeklętych watah.

- Dobrze pan strzela? – zapytał Smoła.

- Niezgorzej – zapewnił Kowicki. – Jeśli to wilki, to nie mamy się czym przejmować. Wieziemy kilka baryłek prochu. Ledwie garść wystarczy, aby przestraszyć w wszystkie basiory między Mieszanką a Wisłą. – Maciej spojrział na dębowe beczułki i poczuł się pewniej. Trochę. – Chcesz moją flintę? Nie bój się, wracając zabierzesz wóz i wszystko, co na nim znajdziesz.

Maciej chciał zapytać, kto nauczy go obchodzić się z niebezpiecznym materiałem, skoro nie rozumiał mowy żadnego z artylerzystów. Wtedy jednak zauważył coś, co przepędziło z jego głowy wszelkie obawy wobec powrotu. Zaczął wątpić, czy w ogóle dotrze do celu. W świetle południowego słońca, z gładkiej warstwy śniegu wychylały się w górę cztery sylwetki. Ledwie widoczne na tle białej szkry, czekały.

- Obława! – syknął Kowicki, który też zauważył nieznanym. – Ale... jak to możliwe!?

Dwaj wāsaci szlachcice porwali strzelby i wycelowali w środek pola. Jeńcy zaczęli coś mówić, ale z mieszanki trzech nieznanym sobie języków Smoła nie wyłowił niemal niczego. Jeden z wāsaczy z tyłu podszedł do Rosjanina i rozwiązał jego nogi. Następnie rzucił gospodarzowi uzyskany w ten sposób kawałek sznurka.

- Jeśli coś pójdzie źle, powiesz, że cię związaliśmy i wleliśmy przemocą – wyjaśnił. – Właściwie, gdybyś się nie zgodził, to byśmy tak zrobili. Jurij, jedź powoli.

Następnie znów chwycił strzelbę. Sanie wciąż sunęły skrajem lasu. Kowicki dawał znaki ręką, polecając woźnicy nie zatrzymywać się. Jeśli stojących w zasadzce było tylko kilku, przebiecie się nie musiało nastreczyć wielkich trudności. Jeśli las krył całą kompanię, uciekinierzy byli i tak zgubieni.

- Piotrze, strzelać? – zapytał Wąsacz. Jego ton sugerował, że uważa trafienie z trzystu kroków za niemal pewne.

- Rany Boskie! Nie! Tożto mogą być miejscowi – szepnął przywódca. Jego towarzysz skrzywił się, jakby to właśnie miejscowych chciał ukatrupić na pierwszym miejscu.

Maciej patrzył w nieruchome sylwetki i sam coraz bardziej pragnął, by strzelec otworzył ogień. Nie podobał mu się widok czterech ludzi, czekających w idealnym bezruchu, niemal zasypanych śniegiem. Wyglądali jak, martwi, zamarznięci. Pan Piotr położył dłoń na ramieniu przewodnika.

- Nie mogę dać ci mojej strzelby. Nie teraz – powiedział z autentyczną troską w głosie. – Jeśli żołnierze zobaczą, że nam pomagasz, możesz zawisnąć. – Wtedy powstaniec postanowił zadziałać. Wstał i lewą dłonią zdjął z głowy futrzastą czapę. Pomachał nią. – Szczęść Boże! – zawołał, tak głośno, jak pozwalały mu płuca.

- No to tyle, jeśli chodzi o efekt zaskoczenia – mruknął Fin. To znaczy: Maciej nie znał języka fińskiego, ba!, zapewne nigdy w życiu nie użył słowa „efekt”, ale zrozumiał intencje artylerzysty. Nie zrozumiał natychmiast reakcji carskich żołnierzy.

Ci wstali i ruszyli ku saniom. Wolnym, ale zdecydowanym krokiem zaczęli przedzierać się przez całkiem głęboki śnieg, wybierając najkrótszą i najszybszą drogę ku przybyszom. Nie kulili się z zimna, nie wymijali zasp, nie odpowiadali. Oraz, pomimo mrozu, z ich ust nie dobywała się para. Smoła nie miał pojęcia, kim są – wiedział jednak, że nie carskimi zwiadowcami.

- Stójcie! – krzyknął Kowicki.

- Panicz, strzelaj! – syknął Maciej do Wąsacza.

To co stało się potem, nie tyle zaskoczyło, co ominęło Smołę. Pan Piotr wciąż krzyczał, jeńcy zaczęli rwać więzy, aż w końcu wąsaty szlachcic strzelił. A oni wciąż szli. Huk rozniósł się po polanie, ucinając głos Kowickiego. I był to ostatni odgłos. Ciało trafionego zwiadowcy nie padło głucho na śnieg. On wciąż szedł.

- Panienko Najświętsza! – szepnął drugi z powstańców i wycelował swoją strzelbę.

Raz już trafiony napastnik zachwiał się i padł, ale pozostali nie wykazali zainteresowania tym faktem. Nadal szli, nie zmieniając trasy, nie schodząc nawet o krok z niewidzialnej ścieżki, prowadzącej ku saniom. Powstańcy już nie krygowali się obowiązkiem chrześcijańskiego pozdrowienia. Choć kapiszonowe strzelby z natury nie były zbyt szybkostrzelne, trójka panów zmieniła się działający nieprzerwanie automat. Smoła nawet nie widział, kiedy ukląkł na podłodze wozu, między uwolnionymi jeńcami i zaczął nabijać flinty. To znaczy: proch sypał Thomas, kule ładował Jurij, a gospodarz i Kałmuk przybijali stemplami. Szlachta strzelała. Maciej nie widział rezultaty kanonady, ale wnosił z jej trwania, że coś poszło źle.

Sploszony koń sam ciągnął sanie, nie prowadzony i nie poganiany przez nikogo. Jednak jakimś niepojętym instynktem, zwierze pojęło, że musi przemóc impuls ucieczki do lasu, wciąż wciągając zaprzęg po otwartej przestrzeni, a tym samym dać ludziom możliwość obrony. Nie patrząc za siebie, Smoła zrozumiał, że mieli zginąć. Obciążony saniami zwierz nie mógł poruszać się szybciej niż brnący nawet przez ciężki śnieg napastnicy. A ci przecież szli nie zważając na nic, jakby biała masa wokół ich nie dotoczyła.

Nagle pan Piotr wcisnął przewodnikowi w dłonie dymiącą strzelbę. Do jej lufy przytroczono bagnet, a włościanin nie potrzebował instrukcji użycia broni. Sam powstaniec sięgnął za pazuchę i wyciągnął rewolwer. Maciej nigdy wcześniej nie widział drogiego, angielskiego wyrobu, ale zrozumiał, że w tej sytuacji niegroźnie wyglądający przedmiot może uratować im życie.

- Kłuj ich. Na śmierć – syknął Kowicki i zeskoczył z sań. Smołą nie zrozumiał, dlaczego idzie w jego ślady.

Na szczęście włościanin nie rozumiał wielu innych rzeczy. Na przykład: czemu zakrwawieni i niemal poszarpani kulami napastnicy wciąż żyją, a w każdym razie nacierają na strzelających powstańców. Wbił bagnet w znajdującego się najbliżej obdartusa. Poczł, jak ostrze wdiera się w ciało wroga, wcale go nie zatrzymując, jedynie zwalniając. Wtedy Kowicki doskoczył do potwora, przyłożył mu lufę do czoła i strzelił. Ku niemal zdumieniu Macieja, pocisk nie odbił się straszdyła – pokraczny czerep pękł, wyrzucając fontannę czerwieni z rany wylotowej na potylicy. Upiór padł, ale na wszelki wypadek włościanin przygwoździł go do ziemi bagnetem.

Potem Smoła pamiętał krzyki, kolejne strzały, aż w końcu ocknął się z przerażającego snu na jawie. Leżał na śniegu, tuż obok martwego Wąsacza i umierającego Jurija. Pozostali celowali w las. Thomas i Zaya trzymali strzelby, Piotr rewolwer. Maciej spojrział w bok, na rany Rosjanina i zwymiotował.

Biedak wykrwawiał się szybko i żadna ziemską siłą nie mogła mu pomóc. Z ramienia potężnego mężczyzny zniknęły co najmniej dwa funty mięsa. Rana wrzała krwią. Przewyciężając obrzydzenie, Smoła wstał i chwycił za czapkę martwego szlachcica. Przycisnął futro do czerwonego zagłębienia. Jurij odpływał w dal – nie był nawet świadomy nowej fali bólu.

- Nie dotykaj go! – syknął Kowicki. – Nie ruszaj krwi!

Była to chyba najgłupsza rada, jaką szlachcic mógł dać. Jeśli klątwa („Boże, to jest jakaś klątwa!”) myślał Maciej, puszczając umierającego jeńca) przenosiła się z krwią, byli już potępieni. Walka z upiorami, szatkowanie półmartwych ciał na długość bagnetu ozdobiło wszystkich czerwonymi plamami. Drugi z powstańców miał twarz pokrytą posoką, nie wiadomo – napastników, czy towarzyszy. Wcześniej Smoła nazywał go w myślach Brodaczem, ale widząc kapiący juchą zarost szlachcica, uznał, że to zły wybór.

- Boże... co to było!? - szeptał partyzant. – Oni się na nas rzucili... Pożerali nasze ciała, póki nie strzeliłeś.

- To sprawka Szatana – zgodził się Pan Piotr. – Ale ponieważ nie mamy tu księdza, musi wystarczyć kula w łeb. – Spojrział na skraj lasu, a potem w dół, na wpół rozszarpane ciało Wąsacza. – Nie siłujcie się z nimi. Trzymajcie na dystans, a ja będę dobijał.

- Ale... - szepnął Maciej. Na śniegu leżały cztery ciała ze zmasakrowanymi czaskami. Napastników było czterech.

- Jest ich więcej. Idą tu – odparł Kowicki. – Gospodarzu, powozisz.

Rosjanin umarł, zanim odjechali. Wąsacza i Jurija zostawili w śniegu. Choć potworne ubytki ciała wskazywały, co zapewne czeka ofiary, żywi nie mieli wyboru. Gdzieś na skraju lasu majaczyły sylwetki kolejnych ożywieńców. Nie dyskutując, Maciej wdrapał się na wóz i pomógł wejść rannemu w nogę Thomasowi. Ruszyli w absolutnej ciszy, która dodawała zimowemu krajobrazowi dodatkowej martwoty. Smoła pogonił struchlałego z przerażenia konia. Zwierze ruszyło, chyba

pogodzone z wizją rychłej śmierci. Ludzie zachowali jeszcze mniej optymizmu.

- Krwawisz – zauważył Maciej. Odwrócił się na chwilę ku pasażerom i zobaczył czerwoną plamę na kozuchu Fina. Ten zrozumiał. Lub nie, w każdym razie kiwnął smutną głową.

- Nic na to nie poradzę – mruknął zirytowany Brodac. – Jeśli zaczniemy go teraz opatrywać, albo mu rana zmarznie, albo wda się zakażenie. A tak może dociągniemy. Chorąży Kowicki tuż za rzeką stoi. Gospodarzu, jak daleko jeszcze?

- Nie wiem, panie – odparł Smoła. – W te lasy to nawet latem się nie zapuszczam.

A pan Piotr wciąż patrzył w tył, na dziwaczne sylwetki, idące śladem sań. Upiory poruszały się powoli, ale z przerażającą konsekwencją. Wolniej niż zaprzęg, ale szybciej niż idący człowiek. Już obserwując samą minę szlachcica łatwo było prześledzić jego tok myślenia.

- Koń zaraz padnie – powiedział powstaniec. – Będziemy iść piechotą. Gospodarzu, powiedz, co wiesz o tych dziwadłach. Wszystko, nawet najgłupsze bajania starych bab.

- Nie więcej, niż pan – odparł Maciej. – Przekłęci zbóje z Galicji, co dręczeni wyrzutami sumienia do lasów zbiegli i zaczęli żyć jak zwierzęta... - Chłop zawahał się. – Ale czy tamci w ogóle żyli?

- To raczej pewne – potwierdził Kowicki. – Ci, którym rozplatałem czaszkę, już nie wstali. A wszystkie upiory łaknęły ludzkiego mięsa. Można je... zabić. – Smoła chciał odpowiedzieć, że to jeszcze nie oznacza, by straszyla żyły. Powstrzymał jednak tę uwagę. – Jest źle. Ciężko lufę flinty przyłożyć do głowy, a mnie zostało już tylko sześć ładunków do rewolweru. Dobry człowieku... - Szlachcic porzucił swoją smutną wartę i wyciągnął zza pazuchy kawałek papieru. – Jeśli coś się stanie panu Kromackiemu, jeńcom i mnie, to ty dostarczysz meldunek mojemu bratu. Napiszę najważniejsze informacje. Moskale mają baterię dział i nie będą się przeprawiać przez rzekę. Paweł zdąży dość do Polic... - Nakreślił pośpiesznie kilka zdań i podał skrawek woźnicy.

- Widzę, że się pan przejmuje bardziej Ruskimi, niż tymi potworami – zauważył włościanin, a pan Piotr się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że posłali pościg, a ten natknie się na to samo, co my.

Kowicki miał słuszne przeczucie, ale pomylił się. Zwiadowcy carscy wpadli na przeklętych rabantów już kilka godzin wcześniej.

...

Zauważyli ich przez przypadek. Właśnie dobijali konia (który po kolejnych kilku wiorstach po prostu padł na śnieg), gdy Maciej zobaczył czerwoną plamę na bieli. Polana, którą sunęli zwięzła się niebezpiecznie, więc pan Piotr nalegał by jechać dalej, ale włościanin ruszył ku śladom krwi i zaraz tego pożałował. Osiem szkieletów, odzianych w strzępy carskich mundurów, leżało na błyszczącej w promieniach zachodzącego słońca szkrze. Szkieletów właśnie. Biedacy zostali objedzeni z do czysta z wszelkich mięśni, a nawet ich wnętrzności wypruto i pożarto. Maciej czytał krwawe znaki na ziemi i zdał sobie sprawę, że żołdacy walczyli o życie.

- Idźmy – szepnął do towarzyszy. – Zanim się ściemni, mamy szansę dotrzeć nad rzekę.

- Thomas, weź proch – polecił Kowicki. – Skruszymy za sobą lód. Nie wiem, co to da, ale może zatrzyma choć kilku.

Ruszyli w drogę, a był to smutny marsz. Brodacz i Thomas byli ranni – ugryzienia przeszkadzały im w chodzeniu i groziły gorączką. Jednak ani razu, nawet aluzyjnie, pan Piotr nie podał myśli o zostawieniu towarzyszy. Z drugim szlachcicem łączyły go więzi przyjaźni, za jeńca czuł się odpowiedzialny na ten szczególnie, rycerski sposób. Pozwalał więc Brodaczowi opierać się na jego ramieniu, nerwowo ściskając rewolwer w prawej dłoni. Maciej i Kałmuk pomagali Thomasowi, wlekli też za sobą dwie beczułki prochu. Zostawienie ich z pewnością przyspieszyłoby marsz zdrowych, ale nie miało najmniejszego wpływu na tempo rannych.

- Zostawcie mnie – szepnął Brodacz, kiedy słońce dotknęło horyzontu. – I tak umieram. - Fakt, umierał. Z jego ust sączył się różowy płyn, zbyt jasny i wodnisty by być tylko krwią. Ukryte pod korbuchem rany oznaczały śmierć, a szlachcic to wiedział. – Wy zdążycie, biegnijcie do rzeki.

Thomas musiał zrozumieć przynajmniej intencję powstańca, gdyż dodał coś w swoim łamanym rosyjskim. Nie było czasu na debatowanie i sejmikowanie o konsekwencjach i moralnych okolicznościach czynu. Kowicki po prostu posadził przyjaciela na śniegu, po czym położył mu dłoń na głowie. Szepnął coś i zrobił znak krzyża. Kałmuk usadził Thomasa i wręczył mu beczułkę prochu, oraz łuczywo.

- Tak... - mruknął Brodacz, patrząc na baryłkę. – Nami się przynajmniej nie najedzą.

- Bóg z wami – szepnął Maciej. – Niech waszmość wybaczy, ale...

- Idźcie już – polecił Brodacz. – Macie niewiele czasu.

Bez zbędnych tłumaczeń trzej pozostali uciekinierzy ruszyli, tym razem bezpośrednio na południe. Weszli w bór, ale od kiedy nie ograniczał ich powóz, mogli sobie na to pozwolić. Maszerowali zwawym tempem wiedząc, że w razie nieszczęścia, towarzysze są gotowi ich zostawić – tak jak Brodacza i Thomasa. Ledwie dziesięć zdrowasiek po wkroczeniu do lasu, zbiegowie usłyszeli wybuch. Pan Piotr i Maciej przeżegnali się. Kałmuk wykonał ten sam gest chwilę później, niepewnie i nie do końca świadomie.

- Chroń jeńca – szepnął Kowicki. – On musi powiedzieć memu bratu, to co powiedział mnie. W tej samej sekundzie ostatni promyk słońca zgasł. Życiodajna tarcza do reszty skrywał się na linię lasu. – Będziemy biec – dodał szlachcic. – Nie oglądał się. Jeśli nie uda ci się doprowadzić Zayi, przynajmniej przekaż list. I powiedz mojemu bratu, aby uciekał z tej przeklętej ziemi.

- To nie ziemia jest przeklęta, panie – odparł Smoła. – To ludzie.

I wtedy Kałmuk krzyknął coś w swojej azjatyckiej mowie i ruszył do biegu. Postali nawet nie marnowali sił na spojrzenie w tył – ruszyli za jeńcem. Pościg zbliżał się bezgłośnie, gdyż upiory nie wydawały dźwięków i szły z przerażającą precyzją unikając wszelkich przeszkód. Dopiero po kilku zdrowaśkach Smoła zdobył się na ruch głową. Kątem oka zobaczył kilkanaście przeklętych sylwetek oraz pana Piotra, zostającego z tyłu. Zapłakał w duszy.

Nie był tchórzem, ale cóż mógł poradzić wobec tych potworów? Wciąż trzymał karabin – teraz rzucił go na śnieg i przyspieszył. Nie potrafił strzelać tak dobrze jak szlachcic, a swoim bagnetem nie zdołałby zakłuć nawet pojedynczego odmieńca. Nie chciał zostawiać odważnego powstańca, jednak musiał. „Boże, wybacz! List, mam dostarczyć list. A potem wrócić do Kachny i dzieci...” Chłop cieszył się dobrym zdrowiem i krzepą. Biegł znacznie szybciej niż wyczerpany głodem i trapiący reumatyzmem powstaniec. Kowicki nie miał szans, a Smoła wciąż...

- Ostrzeż go! – krzyknął pan Piotr i zatrzymał się.

Maciej nie widział sceny, ale wyobraził ją sobie w każdym, nawet najbardziej przerażającym szczególe. Oto powstaniec przystaje, zwraca się ku napastnikom i czeka z wyciągniętą bronią. Upiorów jest ponad tuzin, w jego bębenku ledwie sześć kul. Wie, że zginie, nie zabijając wszystkich wrogów; chce jednak zabrać ze sobą jak najwięcej odmieńców. Strzela.

Maciej usłyszał sześć strzałów, ale nie wiedział, ile z nich trafiło celu. Po owej kanonadzie, las przeszył rozpaczliwy krzyk powstańca, a potem uszy Smoły wypełnił przerażający dźwięk rwanego zębami mięsa. Choć wydawało się to niemożliwe, włościanin przyspieszył. Od tamtej chwili każdy oddech kłuł płuca uciekiniera, ale ten nie zważał na ból. Nie zważał też na wciąż żyjącego towarzysza, który biegł tuż za nim. Maciej był zbyt przerażony nawet na modlitwę.

Do rzeki dotarł może przed północą. Poślizgnął się na wygładzonym wiatrem lodzie i padł na mroźną taflę. Tam postanowił umrzeć. Jednak z marazmu wypchnęła go kolejna fala zwierzęcej paniki. Oto z ciemnego lasu wyłoniła się sylwetka. Postać szła powoli, nienaturalnie stawiając kroki. Maciej wsparł się na rękach, ale znów upadł, zdradzony przez lód. Wtedy dopiero zauważył beczkę, ciągniętą przez Kałmuka.

- Zaya! – krzyknął, wybuchając łzami ulgi. Jak się okazało, mocno przedwczesnymi.

- Ty iść – zachrypiął Azjata. – Ja nie iść już. – Smoła zauważył, że mężczyzna skreślił kostkę. Skoro dotarł tak daleko, wypadek musiał zajść nie dalej niż wiorstę stamtąd. Włościanina przeraziła ta ironia losu – skazać się na śmierć tuż przed wybawieniem.

- Zaya, za rzeką jest pan Paweł! – zapewnił z nadzieją Maciej.

- Ty iść, ja zatrzymać – odparł Kałmuk. Wskazał na beczkę prochu.

- Niech Bóg wszechmogący cię przyjmie do siebie – wybełkotał chłop. – Jesteś w ogóle ochrzczony? – zapytał na wszelki wypadek.

Zaya zrozumiał słowa lub intencję, w każdym razie wyciągnął spod kożucha srebrny krzyż. Obok świętego symbolu Maciej zauważył też dziwaczny korzeń, króliczą łapkę i jakiś szatański kształt, ale napełniony ekumeniczną intuicją zignorował pozostałe dewocjonia.

- Dziękuję! – powiedział i ruszył biegiem przez rzekę.

Zaya zaczął cierpliwie pełznąć po lodzie, aby dotrzeć jak najdalej. Czekał do ostatniej chwili, aż odmieńcy wejdą na zmarzlinę, a Maciej znajdzie się w bezpiecznej odległości. Potem sięgnął ku krzesiwu i cichą doliną Mieszanki targnął ryk eksplozji. Skruszony lód ruszył, a poszarpane szczątki żołnierza i kilku upiorów zniknęły w ciemnej wodzie.

...

Oczywiście, że mu nie wierzyli. Smoła sam sobie nie wierzył. Chcieli go zabić, ale on na to nie zważał. Czuł wręcz ulgę, że zimno i strach się skończą. Dlatego witał furię Pawła Kowickiego z pełną wyrozumiałości obojętnością.

- Zdrajco! Judaszu! Sprzedałeś ich Moskalom, a teraz i do nas przyszedłeś po nagrodę! – potężny szlachcic stał przed związanym Maciejem i co chwila uderzał pojmanego w brzuch. Ostatecznie któryś z podwładnych powstrzymał wodza przed zmasakrowaniem kuriera. – Zabiłeś mi brata!

Wydałeś go! Psie plemię! Po tym coście w czterdziestym szóstym zrobili, powinni was wszystkich powywieszać i sprowadzić jakąś dzicz z Syberii. Wierniejsza by była niż wy, gnidy. Na gałąź z nim! – rozkazał.

Kowicki był okrutnym człowiekiem, ale nie miało to nic do rzeczy, przynajmniej tamtej nocy. Szlachcic, kiedy tylko zobaczył list w ręku obdartego posłańca, domyśli się, że jego brat nie żyje. Zamroczony gniewem umysł bardzo opacznie zrozumiał rolę Smoły w całym zajściu, a kiedy chłop zaczął gadać coś o pożerających ludzi potworach, wódz postanowił go powiesić. Tak dla przykładu. Tak, ze strachu, na wszelki wypadek. Swoim ludziom powiedział, że szaleniec wydał oddział Piotra Moskałom, ale przyniósł list, w nadziei na nagrodę od drugiej strony. Słyszając tę absurdalną historię, Maciej wybuchł śmiechem, co poczytano za potwierdzenie winy. Włóścianin nadal się śmiał, gdy zakładano mu pętlę na szyję.

Ale pan Paweł posłuchał przedśmiertnej rady brata – ruszył w nocy wzdłuż rzeki, ku Policom. Może szkoda, że nie spojrział znów na szubienicę. Oto rankiem ciało biednego Macieja Smoły wciąż wisiało na postronku, ale już objedzone z wszelkiego mięsa, wyczyszczone do kości.

Czerwiec-Lipiec 2009

Źródło: wtf.waw.pl/a_podlewski/rabanci

Sven Jonas Stille Podóz do Polski (fragment)

Szliśmy wzdłuż brzegu nieświadomi, że nie była to najbezpieczniejsza droga i około godziny drugiej w nocy dotarliśmy do małego, granicznego polskiego miasteczka, Dobrzynia. Z radością ujrzelśmy palące się w każdym domu światło i pomyśleliśmy, iż mieszkańcy już wstali, lecz na próżno pukaliśmy do wszystkich drzwi, nikt nam nie odpowiedział. Zapomnieliśmy po prostu, że Polacy są w większości głęboko wierzącymi katolikami i palące się światła nie miały wcale rozjaśnić ulic ani też nie paliły się dla nas czy mieszkańców miasta, lecz oświetlały krucyfiksy, umieszczone w małych kapliczkach.

Marziliśmy, gdyż mokre ubrania pozbawiły nas całego ciepła, które dał forsowny marsz. Pukaliśmy więc nadal do drzwi z gwałtownością świadcząca, jak wielką moc może mieć zmęczone ciało człowieka nad jego duszą, która, choć wolna, musi często dostosowywać się do swej ziemskiej skorupy, buntując się i powstając przeciwko temu, co owa materialna szata nakazuje.

Długo jeszcze włóczyliśmy się w ten sposób po ulicach miasteczka, naruszając spokój nocny. Wędrowkę naszą przerwał nagle jakiś człowiek, który krzyknął za nami kilka słów po polsku, a w chwilę potem był pośród nas, wymachując nad naszymi głowami gołą szablą. Zaczęliśmy oczywiście z niezwykłym pośpiechem i zdecydowaniem tłumaczyć się, by umknąć potraktowania szablą i opowiedzieliśmy o sobie jak można najlepiej, unikając w ten sposób pchnięć dla nas przeznaczonych. Krzyczeliśmy „Jesteśmy Szwedami, gonieni przez Prusaków przepłynęliśmy Drwęcę, by dostać się do wojska polskiego”. Polak, rzeński i energiczny młody człowiek, opuścił szablę. Powiedzieliśmy mu wówczas, że jesteśmy głodni i przemoczeni, szukamy mieszkania i jedzenia. Zrozumiał zupełnie dobrze nasze wyjaśnienia po niemiecku, ale nie umiał odpowiedzieć w tym samym języku, zawołał tylko z miłym uśmiechem „Dobrze pan!” i pomógł nam gospodę, do której weszliśmy radośni na myśl o dobrym posiłku i miękkim łóżku.

Wkrótce jednak doszliśmy do przekonania, że nie mieliśmy pojęcia o różnicy, jaka istnieje pomiędzy szwedzką a polską gospodą. Sądziliśmy w naszej naiwności, że znajdziemy przytulne i schludne pomieszczenie, gdzie miły ogień i dobry posiłek wynagrodzą nam trudy całego dnia. Żadne jednak z tych oczekiwań nie spełniło się. Izba, do której weszliśmy, robiła niemiłe i nieporządne wrażenie. Na wiązkach słomy spali w ubraniach służący i dzieci, a gospodarz z gospodynią w podobny sposób spali w sąsiedniej sypialni. Dla wygody wstawiono nam do kąta drewnianą ławę. Straciliśmy już nadzieję, że dostaniemy pościel. Poprosiliśmy o jedzenie — jedzenia nie było, lecz każdy z nas dostał podłej wódki ze szklanką piwa i muszę przyznać, że był to niezwykle pożądany poczęstunek nawet dla Stenkuli, który pomimo iż w domu należał do towarzystwa trzeźwości i ściśle przestrzegał swej przysięgi, uznał trunek za lekarstwo i zapewniwszy sobie w ten sposób czyste sumienie, doznawał prawdziwej przyjemności. Tak więc różnica pomiędzy szwedzką a polską gospodą jest niesłychana. Spaliśmy dość dobrze w naszych mokrych ubraniach z plecakami pod głową i obudziliśmy się następnego ranka zdrowi i cali, a wkrótce potem stanął przed nami ów srogi Polak, który wymachiwał nam w nocy szablą nad głowami i oświadczył z całą charakterystyczną dla swego narodu serdecznością i wesołością, że jesteśmy mile widziani na polskiej ziemi. Miał dla nas zaproszenie na śniadanie do burmistrza.

Gdy poszliśmy za naszym przewodnikiem i zobaczyliśmy miasto w dziennym świetle, stwierdziliśmy, że położone jest ono wzdłuż Drwęcy, dokładnie naprzeciwko Golubia, leżącego na pruskim brzegu rzeki. Dobrzyń utrzymuje łączność z Golubiem za pomocą mostu, pośrodku którego Prusacy zbudowali wysoki, drewniany płot jako mur oddzielający polską liberalną cholereę od prawowitego zdrowia Europy. Oczywiście drewniany płot z czasem gnije i rozpada się.

U burmistrza, gdzie wkrótce przyszlismy, znajdowało się kilku oficerów i całe towarzystwo przyjęło nas przyjaźnie, serdecznie i z entuzjazmem. Była to więc przemiła kompania, ponieważ zaś w Polsce używa się trzech języków — a to francuskiego, którym posługują się wyższe sfery, niemieckiego, używanego przez warstwy średnie i polskiego, którym mówią tylko klasy niższe, mogliśmy od tej pory porozumieć się i po chwili czuliśmy się wśród naszych przyjaciół jak w domu. Ubawił ich bardzo opis naszej przeprawy przez rzekę, zwłaszcza że przez okno widać było strażę pruskie na moście, które czujnie i z uwagą robiły obchód po drugiej stronie płotu. Radowało ich, że udało nam się szczęśliwie do nich dotrzeć, tym bardziej, że zwróciliśmy uwagę straży granicznej, Polacy bowiem nie lubili Prusaków widząc, iż ich neutralność w toczącej się walce jest tylko pozorna. Opowiadali, że „wszyscy, którzy chcieli załatwić coś z Rosjanami lub byli przez nich przysłani, mogli bez przeszkód swobodnie przekraczać granicę, że Prusacy posyłali stale Rosjanom będącym w Polsce duże zapasy żywności, że Polacy wiele razy zdobywali w czasie bitwy armaty oznaczone pruskim orłem, co świadczy o tym, że Prusacy dostarczali także broni”. Mówili również, że „gdy kilku rosyjskim jeńcom udało się uciec, Prusacy odesłali ich z powrotem do armii rosyjskiej” i dodali z pogardą, bijącą z ich pełnych życia oczu: „Przechwytuja nawet na granicy pomoc, przesyłaną nam od obrońców wolności z Francji i innych krajów. Nic do nas nie dochodzi”. Z wiarą w siebie, jaką mają często ludzie wierzący, iż walczą o słuszną sprawę, z ową niezachwianą ufnością w pomoc Opatrzności i we własne siły, jaką obdarzeni są słabsi walczący z potężniejszym od siebie wrogiem, opowiadali nam o swych zwycięstwach nad Rosjanami i o niezłomnej wierze w szczęśliwy koniec walki. Widzieli przed sobą jeszcze tylko kilka dni na polu bitwy i przepełnieni miłością ojczyzny pili jej zdrowie i śpiewali pełni triumfu swą pieśń wolności *Noch ist Polen nicht verloren* (Jeszcze Polska nie zginęła).

Po zakończonym w ten sposób powitaniu musieliśmy opowiedzieć o własnej ojczyźnie. Wkrótce stwierdziliśmy, że obecni mają o niej bardzo mętne wyobrażenie. Szwecja była dla nich pustynią pełną skał, pokrytą śniegiem i lodem, po której spacerują niedźwiedzie i wilki. Myśleli, że jest wysunięta tak bardzo na północ, iż mało kto jest w stanie tam mieszkać. O Szwecji wiedzieli jedynie to, że pochodzili stamtąd Karol XII i jego dzielni wojownicy. Dość ciężko nam było zmienić ten obraz. Mówiliśmy, że są w Szwecji uniwersytety. Z trudem mogli w to uwierzyć, a gdy wymieniliśmy Lund, wydało im się, że coś o nim wiedzą, poprawili więc nas mówiąc Londyn. Przeświadczeni, iż źle jest w Szwecji z roślinnością, pytali, skąd bierzemy ziarno siewne, czy uprawiamy jęczmień itp. Lecz Szwedów mieli za naród prawy, odważny i otwarty, osądzali go bowiem mając w pamięci bohatera, który sto lat temu zonglował ich królewską koroną. Nietrudno się dziwić tym mylnym pojęciom, brali bowiem Karola XII za typowego przedstawiciela naszego narodu. Sądziło się, iż naród, składający się z takich ludzi, jak on i jego towarzysze, nauczył się najpierw rzucać wyzwanie siłom natury, potem zaś odważył się, mimo swej niewielkiej liczby, rzucać wyzwanie innym narodom i ostrogami szarpać skarłatą sieć polityki. Polacy ci jednak byli dość wykształceni, mówili kilkoma językami i czytali najlepszych pisarzy po niemiecku i francusku. Trzeba im wybaczyć, że nie znali Szwecji, skoro książka Islandczyk w Norwegii dowodzi, iż wykształceni Francuzi po dzień dzisiejszy są najzupełniej przekonani, że Półwysep Skandynawski leży na końcu świata zarówno pod względem klimatu, jak kultury.

Jeszcze bardziej zdumiewa nas fakt, iż Niemcy niewiele lepiej znają naszą ojczyznę, a że jest tak naprawdę, potwierdzić może następująca historia wzięta z życia. Spotkaliśmy w Warszawie doktora medycyny, niejakiego H...d z Wiednia, który zapytał nas w rozmowie, czy Sztokholm nie jest stolicą Danii. Gdy powiedzieliśmy mu, że się myli, poprawił się i uznał swoją pomyłkę, lecz dodał, by raz jeszcze pochwalić się znajomością geografii, iż Dania jest rosyjską prowincją. Na nieszczęście wdaliśmy się z nim w dyskusję także na ten temat i dowiedzieliśmy się, iż doktor H...d spotkał niegdyś Duńczyka, który był w służbie rosyjskiej, i od tej chwili stało się dla niego jasne, iż Dania należy do Rosji. Dość ciężko było go przekonać, że nie wszystkie kraje położone u wybrzeży Morza Bałtyckiego są częścią monarchii rosyjskiej, w końcu jednak ustąpił z grzeczności wobec naszej niepohamowanej żądzy dyskusowania.